

Wojciech KauteUniwersytet Jana Kochanowskiego
w Kielcach, Polska**POLSKA I POLACY A „DUCH” NOWOŻYTNOŚCI
W DZIENNIKU WITOLDA GOMBROWICZA**

Twórczość dramatyczna Witolda Gombrowicza ma to do siebie, iż może być ona, jak każde dzieło sztuki, rozmaicie interpretowana; różny może być jej odbiór. Dla jego ułatwienia Gombrowicz pisze „Dziennik”. „Piszę ten dziennik z niechęcią – oznajmia. Jego nieszczerą szczerość męczy mnie. [...] Jakże daleko jestem od pewności i rozmachu, które grają we mnie, gdy – wybaczone – „tworzę”. Tu, na tych kartkach, czuję się jakbym z nocy błogosławionej wydostawał się na twarde światło poranka. [...] Fałsz, tkwiący w samym założeniu mego dziennika, czyni mnie nieśmiałym... [...]. A jednak zdaję sobie sprawę, że [...] powinienem móc wyrazić się nie tylko w poemacie lub dramacie, ale i w zwykłej prozie – w artykule, czy w dzienniku – i lot sztuki musi znaleźć odpowiednik w sferze życia zwyczajnego, jak cień kondora kładzie się na ziemi. Co więcej, to przejście w świat codzienny z dziedziny cofniętej w najdalszą głęb, niemal w podziemiu, jest dla mnie sprawą niezmiernie ważną. Chcę być balonem, ale na uwięzi, anteną, ale uziemioną, chcę być zdolny do przełożenia siebie na język zwyczajny”¹. To jednak jeszcze nie wszystko. „Czym jest dziennik, jeśli nie tym zwłaszcza: pisaniem prywatnym, robionym na własny użytek?, zadaje pytanie Gombrowicz. Ten odmienny punkt wyjścia dziennika odróżnia go od wszystkich innych rodzajów [...]. Literatura ma dwojaki sens i podwójny korzeń: rodzi się z czystej, artystycznej kontemplacji [...]; ale jest też osobistą rozgrywką autora z ludźmi [...]. Jest sprawą dojrzewającą w samotności [...] ale jest też sprawą towarzyską [...] ba, publicznym stwarzaniem siebie za pomocą ludzi. Wynika z pragnienia Piękna, Dobra, Prawdy; ale jest też żądzą sławy, znaczenia, popularności, triumfu. Dziennik pisarza, wyrażając ten drugi, osobisty aspekt literatury, jest uzupełnieniem dzieła czysto artystycznego. I pełny obraz twórczości uzyskamy, dopiero gdy ujrzymy autora w tych dwóch wymiarach”². Tym, co dla Gombrowicza jest „życiem zwyczajnym”, jest – ostatecznie – życie konkretnej jednostki. A to oznacza tu jego samego; Gombrowicza. „Dzięki Ci [...] Najwyższy, za Dziennik, pisze. Jednym z najdramatyczniejszych momentów mojej historii był ten [...], gdy rodziły się pierwsze fragmenty Dziennika. O, drżałem wtedy! Porzuciłem język groteskowy moich dotychczasowych utworów, [...] – tak bezbronny czułem się w dzienniku, taki strach mnie brał, że w tym słowie prostym wypadnę bla-

¹ W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1969*, Kraków 2013, s. 56-57.

² *Ibidem*, s. 235.

do! [...] Ale potem! Jakaż pewność, gdy okazało się, że od biedy mogę komentować siebie, [...] wówczas dokonana się moja niezależność!”³ W tym „komentowaniu” przez Gombrowicza „siebie”, osobne, szczególne, miejsce zajmuje Polska.

W jednym z wczesnych fragmentów „Dziennika” czytamy: „Osobom, interesującym się moją techniką pisarską, przekazuję następującą receptę. Wejść w sferę snu. Po czym zacznij pisać pierwszą lepszą historię, jaka ci przyjdzie do głowy i napisz ze 20 stron. [...] Na tych 20 stronach znajdzie się może jedna scena, kilka pojedynczych zdań, jakaś metafora, które wydadzą ci się podniecające. Napisz więc wszystko jeszcze raz, starając się, aby te podniecające elementy stały się osnową – i pisz, nie licząc się z rzeczywistością, dążąc tylko do zaspokojenia potrzeb twojej wyobraźni. Podczas tej powtarzanej redakcji wyobraźnia twoja przyjmie już pewien kierunek – i dojdiesz do nowych skojarzeń, które wyraźniej określą teren działania. Wówczas napisz 20 stron dalszego ciągu, idąc wciąż po linii skojarzeń, szukając zawsze pierwiastka podniecającego – twórczego – tajemniczego – objawicielskiego. [...] Tak postępując, ani się spostrzeżesz, kiedy wytworzy ci się szereg scen kluczowych, metafor, symboli [...] i uzyskasz szyfr właściwy. I wszystko zacznie ci się pod palcami zaokrąglać mocą własnej swojej logiki, sceny, postacie, pojęcia, obrazy zażądają swego dopełnienia i to, co już stworzyłeś, podyktuje ci resztę. Jednakże cała rzecz w tym, abyś, poddając się w ten sposób biernie dziełu, pozwalając, aby stwarzało się samo, nie przestał ani na chwilę nad nim panować. Zasada twoja w tym względzie ma być następująca: nie wiem dokąd dzieło mnie zaprowadzi, ale, gdziekolwiek by mnie zaprowadziło, musi wyrażać mnie i mnie zaspokajać. [...] [Idzie o to] aby nie kłamać – aby kłamać jak najmniej [...]. I wszystkie problemy, które nasuwa ci takie samorodne i na oślep stwarzające się dzieło, problemy etyczne, stylu, formy, intelektu, muszą być rozwiązywane z pełnym udziałem twojej najostrożniejszej świadomości oraz z maksymalnym realizmem (gdyż wszystko to jest grą kompensacji: im bardziej jesteś szalony, fantastyczny, intuicyjny, nieobliczalny, nieodpowiedzialny, tym bardziej musisz być trzeźwy, opanowany, odpowiedzialny). W rezultacie: pomiędzy tobą a dziełem powstaje walka, taka jak pomiędzy woźnicą a końmi, które go ponoszą. Nie mogę opanować koni, lecz muszę dbać, abym się na żadnym zakręcie tej jazdy nie wyrócił. Dokąd zajadę – nie wiem, lecz muszę zajechać cało. Więcej – muszę przy sposobności wydobyć całą rozkosz z tej jazdy”⁴. I tak w rezultacie pojawia się coś, co nie jest „ani czystą formą, ani [...] wypowiedzią”⁵. Rzecz w tym, iż „Dziennik”, mający ułatwić odbiór tego czegoś, wchodzi w istocie także „w sferę snu”. A kim jest jego autor? „Czy będę mniej śmieszny za kilka wieków dlatego, że napisałem to, co tu napisałem?”, zadaje pytanie Gombrowicz. Boże święty! To tylko, ot, aluzja, sugestia, szkic, niejako wstęp, och, ja

³ Ibidem, s. 584.

⁴ Ibidem, s. 124-125.

⁵ Ibidem, s. 125.

przecież tu w dzienniku piszę tak na dziesięć procent, nie więcej. *Sapienti sat*. I zresztą, kto to pisze?... Kto? Hallo, hallo! Kto mówi? Nie wiem”⁶.

W myśli Gombrowicza kategorią centralną jest kategoria „formy”. Czym jest „forma”? Jeżeli podjąć się próby jakiejś jej definicji, to jest to całokształt tego „świata”, który kształtuje się w relacjach między jednostkami. Jednostka jest kształtowana przez zbiorowość, i to nie jest dla Gombrowicza specjalnie odkrywcze. Jednakże „człowiek – jak twierdzi, komentując *Ferdydurke* – jest stwarzany także przez pojedynczego człowieka, przez inną osobę. W przypadkowym zetknięciu. W każdej chwili. Mocą tego, że ja jestem zawsze „dla innego”, obliczony na cudze widzenie, mogący istnieć w sposób określony tylko dla kogoś i przez kogoś, egzystujący – [...] – poprzez innego”⁷. I to istnienie „dla” to „forma”. „Ja sam dla siebie nie potrzebuję formy, ona mi jest potrzebna po to tylko, aby ten drugi mógł mnie zobaczyć, odczuć, doznać”⁸, twierdzi Gombrowicz. „Mój człowiek jest stwarzany od zewnątrz, czyli z istoty swojej nieautentyczny. [...] Wieczysty aktor, ale aktor naturalny, ponieważ sztuczność jest mu wrodzona, ona stanowi cechę jego człowieczeństwa – być człowiekiem. to znaczy być aktorem – być człowiekiem. to znaczy udawać człowieka – być człowiekiem, to „zachowywać się” jak człowiek, nie będąc nim w samej głębi – być człowiekiem, to recytować człowieczeństwo”⁹. Paryż; początek lat 60.; środowisko literackie. „Zapytałem ich, kim jest X, którego znałem tylko ze słyszenia – wspomina Gombrowicz. Odpowiedziano, że wybitny pisarz. Powiedziałem, że, owszem, pisarz, ale kim jest? Wyjaśnili, że wywodząc się z surrealizmu, oddał się ostatnio specyficznemu obiektywizmowi. Rzekłem, że, doskonale, obiektywizm, ale kim jest? Powiedziano, że należy do grupy Melpomeny. Odpowiedziałem, że zgadzam się na Melpomenę, ale kim jest? Odparli, że jego gatunek charakteryzuje kombinacja *argot* z metafizyką ufantastyczną. Mówię tedy, że zgadzam się na kombinację, ale kim jest? Na co odpowiedzieli, że cztery lata temu przyznano mu *Prix St. Eustache*”¹⁰. „Pojąłem mój nietakt – uzupełnia, siedząc w restauracji, swoje spostrzeżenia Gombrowicz: cóż cię obchodzi kim jest twój kucharz, przecie nie kucharza zjadasz, a jego potrawy. I, nawiasem mówiąc, był to nietakt tyleż wobec kucharzy, co wobec krawców, gdyż pytanie „kim się jest” z natury swojej jest obnażające [...]. Literat francuski nie będzie przecież paradował nago, w powietrzu tutejszym unoszą się tysiące płaszców, wyciąga się rękę, chwytą się płaszczy najbardziej przypadający do gustu [...]... powietrze roi się od technik, kierunków, rozwiązań, płaszczyzn, platform, powietrze paryskie jest ożywcze i lekkie, jak wóz z meblami. Krzyknąłem, że nie jestem ani pisarz, ani członek czegokolwiek, ani metafizyk czy eseista, że jestem ja, wolny, swobodny, żyjący...”¹¹. „Nagość moja,

⁶ Ibidem, s. 893-894. W innym miejscu: „Ten dziennik to 30 procent tego, co być powinno”, ibidem, s. 198.

⁷ Ibidem, s. 340.

⁸ Ibidem.

⁹ Ibidem, s. 341.

¹⁰ Ibidem, s. 774-775.

¹¹ Ibidem, s. 775.

[...] nagość [...] nie pozwalała mi nie być z nimi obnażającym – ciągnie dalej Gombrowicz. Wytworzyła się nieprzyzwoitość. Z jakimż zażenowaniem te tuzy przyjmowały mój wzrok namiętnie naiwny, dobierający się do nich poprzez ubranie... śmiertelna dyskrecja, dyskretna melancholia, zgaszenie taktowne, odpowiadały mojemu żądaniu [...]. Ubrani od stóp do głowy, opatuleni, [...] z twarzami wystylizowanymi przez fryzjerów... [...] Panuje skromność i rozwaga. Nikt nie narzuca się nikomu. Każdy robi swoje. Produkują i funkcjonują. Kultura i cywilizacja. Uwięzieni w stroju, ledwie się mogą ruszać, podobni do owadów posmarowanych czymś lepkiem. Kiedy zacząłem zdejmować spodnie powstał popłoch, dawaj drała drzwiami i oknami. Pozostałem sam. Nikogo nie było w restauracji, nawet kucharze uciekli... dopiero wtedy się spostrzegłem, że co to, na Boga, co robię, co ze mną... i skrzywiony stałem z nogawką jedną na nodze, drugą w rękę. Wtem Kot [Konstanty A. Jeleński] wchodzi z ulicy i widząc mnie tak stojącego, pyta ze zdumieniem – kontynuje Gombrowicz: – Co ty, zwariowałeś? Mnie wstyd i chłodno, odpowiadam, że tak trochę zacząłem się obnażać, a wszystko uciekło. Mówi: – Oszalałeś, tobie się w głowie pomieszało, gdzie by tu kto się twojej nagości przestraszył, przecie na całym świecie nie znajdziesz takiego zdzierania szat, jak tutaj... czekaj, na królików trafiłeś, ale ja ci sproszę lwów takich, że choćbyś goły na stole tańczył, ani mrugną! Stanął tedy zakład między nami, zakład szlachecki i polski. [...] No, dobra! Sprosił kogo trzeba, intelekty najbrutalniej obnażające, ja nic, aż kiedy już do wetów przyszło, zaczynam portki zdejmować. Zwiali, grzecznie przeprosiwszy, że niby czas na nich! Więc Leonor Fini [?] i Kot do mnie mówią: – Jakże to, nie może być, żeby oni się przestraszyli, przecie intelekty wyspecjalizowane w tym mają! Mnie ciężko bardzo i źle na duszy, smutek mnie zżera, mało brakowało, a byłbym gorzko się rozpłakał, ale mówię: – Cała rzecz w tym, że oni, uważacie, nawet rozbieraniem się ubierają i nagość to u nich tylko jedna paru pantalonów więcej. Ale jak ja tak zwyczajnie portki spuściłem, to ich zemgliło, a głównie dlatego, że nie zrobiłem tego wedle Prousta, ani à la Jean Jacques Rousseau, ani wedle Montaigne'a czy w sensie egzystencjalnej psychoanalizy, tylko ot tak sobie, byle zdjąć¹². I Gombrowicz konkluduje: „W jednym z wywiadów powiedziałem, że oni są jak psy Pawłowa. Obym był tego nie mówił! Gdyż odtąd ich sztuczność przybrała charakter psa usztucznionego i wycie psów zmanierowanych rozległo się na ulicach w ciszy nocnej”¹³.

„Obowiązek publicysty – zwierza się Gombrowicz – nakazuje mi podać do wiadomości publicznej, że dzieją się rzeczy już doprawdy zbyt kretyńskie... zbyt kretyńskie, aby mogły być ujawnione i, jak sądzę, na tym właśnie polega cała spekulacja – że nadmiar kretyństwa nie pozwoli na ich ujawnienie, że to już zbyt głupie, aby dało się wypowiedzieć. Wyszedłszy z kawiarni Paris, poszedłem do kawiarni Rex. Wtem zbliżył się do mnie nieznany jegomość i, przedstawivszy się jako Zamszycki (ale może się przesłyszałem), powiedział, że od dawna chciał mnie poznać. Powiedziałem, że bardzo mi przyjemnie, a wtedy podziękował, uklonił się i odszedł. Rozwścieczony,

¹² Ibidem, s. 775-776.

¹³ Ibidem, s. 776-777.

chciałem zwymyślać kretyna, gdy wtem spostrzegłem, że to nie kretyn, gdyż, ostatecznie, chciał mnie poznać i poznał mnie – więc słusznie zrobił, że odszedł. Myślę tedy: kretyn czy nie kretyn? Tymczasem naprzód zapaliła się latarnia, potem druga, gdy druga zapaliła się, zapaliła się trzecia, po czym czwarta, a z czwartą piąta. Zaledwie piąta zapaliła się, zapala się szósta oraz siódma, ósma i dziewiąta, ale, jednocześnie, przejeżdża samochód jeden, drugi, piąty, tramwaj jeden, drugi, dziesiąty, ludzie idą, jeden, drugi, dziesiąty, piętnasty, a przede mną dom jeden, drugi, trzeci i piąty pierwsze, drugie, trzecie, czwarte, piąte, szóste, siódme, a na siódmym balkon i na balkonie – kto? Henryk z żoną! Kiwiają na mnie. Ja kiwam. Ale widzę, choć niezbyt wyraźnie, że coś tam jakby mówili – a jednocześnie kiwiają. Ja kiwam. Mówi on. Mówi ona. Ale co mówią? Kiwiają. Samochody, tramwaje, ludzie, ruch, tłum, zapalają się reklamy, zewsząd blask, trąbienie, dzwonięcie, a oni mówią tam, na siódmym piętrze. I znowu kiwiają. Ja kiwam. Patrzę: kiwa ona, kiwa on. Więc także kiwnąłem. Wtem patrzę, a on kiwnął... ale, właściwie mówiąc, już nie kiwnął, a tak jakby wkiwnął! Myślę sobie, cóż to jest, co to znaczy, gdy wtem widzę, że znowu wkiwnął się (doprawdy, nie wiem jak się wyjęzyczyć, to już zbyt bezczelne, a jednak nie wolno mi niczego ukrywać) i wkiwnął się w siebie, jak w butelkę. Ja kiwam. Wtem ona (ale nie, nie, nie mogę przecież robić z siebie kretyna; lecz jeśli ujawnić mam Kretyna, muszę robić z siebie kretyna) wtedy ona wykiwała z niego aż się wychynał i dokiwała mu (ale CO mu dokiwała?!), po czym oboje rozkiwnęli się z lekka tam i sam i pyf.... (Ha, tego już nie mogę powiedzieć, to nad moje siły!)”¹⁴. Gombrowicz w swoim „śnie” – „śni” (nowożytną) Europę. A w tym „śnie” „kretyn” narzuca „formę” drugiemu „kretynowi”.

Luwru... „Tłok na ścianach, wywieszenie tych obrazów głupie, jeden obok drugiego. Czkałka tego nagromadzenia. Kakofonia. Karczma. Leonardo bije się po pysku z Tycjanem. Zez tu wszechwładnie panuje, bo gdy patrzysz na jedno, drugie wchodzi ci w oko z boku... Chodzenie od jednego do drugiego, stawanie, przyglądanie się, obchodzenie, podchodzenie, stawanie, przyglądanie się. Światło, barwa, kształt, którymi cieszyłeś się jeszcze przed chwilą, na ulicy, tu krzyżując się w rozłamaniu na tyle wariantów, włożą ci w gardło [...]. Aż w końcu dochodzisz do świętego zakątka, gdzie króluje ona, Gioconda! Witaj, Cyrce!... [...], niezmordowanie przemieniająca ludzi, nie w świnię wprawdzie, a w cymbałów! [...] Codziennie od pięciu wieków gromadzi się przed tym obrazem tłumek, aby doznać kretyńskiego rozdziawienia gęby, ta sławna twarz codziennie ogłupia im twarze... pstryk! Amerykanin z aparatem fotograficznym. Inni uśmiechają się pobłaźliwie w błogiej niewiedzy, że ich kulturalna pobłażliwość jest nie mniej głupia. [...] Głupota przewala się po salach Luwru. Jedno z najgłupszych miejsc świata”¹⁵. „Głupota, jakiej doświadczam – i coraz silniej, w sposób coraz bardziej upokarzający – która mnie gniecie, osłabia – bardzo się wzmogła odkąd zbliżyłem się do Paryża, najbardziej ogłupiającego z miast, pisze Gombrowicz. Nie przypuszczam, abym ja tylko czuł się w jej zasięgu; mnie się zdaje, że wszyscy biorą-

¹⁴ Ibidem, s. 175-176.

¹⁵ Ibidem, s. 765-766.

cy udział w wielkim marszu świadomości współczesnej nie zdołali zagłuszyć w sobie jej kroku towarzyszącego... jej przedzierania się zaroślami tuż, tuż... Zastanawiałem się i zastanawiam, jak ustalić Prawo, określające najzwyczajniej tę sytuację specyficzną Ducha europejskiego – stawia kropkę nad „i” Gombrowicz. Nie widzę nic innego, oprócz **Im mądrzej, tym głupiej**.

W istocie, uzupełnia: tu nie mowa o tym pewnym kontyngencie głupoty, jeszcze nie przezwyjęzionej, z którą rozwój prędzej czy później się załatwi. Tu by szło o głupotę, postępującą w parze z rozumem, która z nim razem wzrasta. Spójrzcież na wszystkie festyny intelektu: te koncepcje! Te odkrycia! Perspektywy! Subtelności! Publikacje! Kongresy! Dyskusje! Instytuty! Uniwersytety! A jednak: głupio. Muszę się zastrzec – dodaje – że prawo *im mądrzej, tym głupiej*, formułuję bez odrobiny żartu. Nie, to tak naprawdę...¹⁶ To nie jest zwykle „ot tak sobie”. „Zasada odwrotnej proporcjonalności zdaje się dosięgać samej istoty rzeczy – konkluduje Gombrowicz – albowiem coraz szlachetniejszej jakości rozumu odpowiada coraz nikczemniejsza kategoria głupstwa, to głupstwo staje się coraz bardziej ordynarne i nie dzięki czemu innemu, tylko właśnie wskutek prostactwa swojego, wymyka się coraz subtelniejszym instrumentom kontroli intelektualnej... rozum nasz za mądry, by móc się obronić przeciw głupocie tak głupiej. W *episteme* zachodniej to co jest głupie, jest głupie w sposób gigantyczny¹⁷. Jej „bezbronność [...] wobec głupoty najjaskrawszej jest cechą charakterystyczną naszych czasów¹⁸. „Tyrania form¹⁹... Europa, „rozum”, „forma”, „głupota”. „Kłamstwo”. [...] Kłamstwo, kłamstwo...²⁰. „Kłamstwo nieprzerwanie nas draży²¹. Gombrowicz – „wolny, swobodny, żyjący” – chce Paryżowi, Francji, Europie nowożytnej zdjąć „ubranie”. Chce to zrobić wszystkim; i samemu sobie.

„Z pewnością należą do najszczerzych pisarzy w polskiej literaturze²², pisze o sobie autor „Dziennika”. Jako pisarz, zwierza się, „na ogół unikam myślenia... mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że myślę tylko wtedy gdy jestem zmuszony. Wolę gapić się, niż myśleć²³. I tak w Gombrowiczowskim „śnie” pojawia się Polska. Gombrowicz „gapi się” na Polaków. I co widzi? Mniemanie Polaków, jakie mają oni o sobie, twierdzi, to świat złudzeń i pobożnych życzeń. „Ileż to razy ten i ów [...] wykazywali *urbi et orbi*, że jednak sroce nie wypadliśmy spod ogona, gdyż „Tomasz Mann uznał *Nieboską* za wielkie dzieło” lub „*Quo vadis* tłumaczone było na wszystkie języki” – pisze. Tym to cukrem od dawna się krzepimy. [...] Kiedyś zdarzyło mi się uczestniczyć w jednym z tych zebrań poświęconych wzajemnemu polskiemu krzepieniu się i dodawaniu ducha... gdzie, odśpiewawszy Rotę i odtańczywszy krakowiaka,

¹⁶ Ibidem, s. 889-890.

¹⁷ Ibidem, s. 890.

¹⁸ Ibidem, s. 891.

¹⁹ Ibidem, s. 879.

²⁰ Ibidem, s. 304.

²¹ Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969. Rozmowy z Dominikiem de Roux*, Kraków 1992, s. 137.

²² W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1969*, s. 822.

²³ Ibidem, s. 299.

przystąpiono do wysłuchiwanie mówcy, który wysławiał naród, albowiem „wydaliśmy Szopena”, albowiem „mamy Curie-Skłodowską” i Wawel, oraz Słowackiego, Mickiewicza i, poza tym byliśmy przedmurzem chrześcijaństwa, a konstytucja Trzeciego Maja była bardzo postępową... Tłumaczył on sobie i zebranym, że jesteśmy wielkim narodem, co może nie wzbudzało już entuzjazmu słuchaczy (którym znany był ten rytuał [...]) niemniej jednak było przyjmowane z rodzajem zadowolenia”²⁴. „Tę akademię – kontynuuje Gombrowicz – można było określić jako wzajemne otepianie się [...]. Zgromadzenie zresztą wiedziało o tym, iż jest niemądre – niemądre, ponieważ dotyczy spraw, których ani myślowo, ani uczuciowo nie opanowało – i stąd ten szacunek, ta skwapliwa pokora wobec frazesu, [...] ten język umówiony i nauczony, ten brak rzetelności i szczerości. Tu recytowano. Lecz zgromadzenie było nacechowane skrzepowaniem, sztucznością i fałszem także dlatego, iż brała w nim udział Polska, a wobec Polski Polak nie umie się zachować, ona go peszy i manieruje – onieśmiela go w tym stopniu, iż nic nie „wychodzi” mu właściwie i wprawia go w stan kurczowy – zanadto chce Jej pomóc, zanadto pragnie Ją wywyższyć. Zauważcie, iż wobec Boga (w kościele) Polacy zachowują się normalnie i poprawnie – wobec Polski tracą się...”²⁵ „Przypominam sobie herbatkę w pewnym argentyńskim domu, gdzie mój znajomy, Polak, zaczął mówić o Polsce, opowiada Gombrowicz [...]. Cudzoziemcy grzecznie przysłuchiwali się gorącym wywodom i przyjmowali do wiadomości, iż „Nietzsche i Dostojewski byli polskiego pochodzenia” i że „mamy dwie Nagrody Nobla w literaturze”. Pomyślałem, że gdyby ktoś wychwalał w ten sposób siebie lub swoją rodzinę, byłby to gruby nietakt. Pomyślałem, iż ta licytacja z innymi narodami na geniuszów i bohaterów, na zasługi i zdobycze kulturalne, jest właśnie wysoce niezręczna pod względem taktyki propagandowej – gdyż z naszym półfrancuskim Szopenem i niezupełnie rdzennym Kopernikiem nie możemy wytrzymać konkurencji włoskiej, francuskiej, niemieckiej, angielskiej, rosyjskiej; więc ten punkt widzenia skazuje nas właśnie na podrzędność”²⁶. Jest to horyzont „zaścianka”²⁷.

U progu czasów nowożytnych istniały możliwości ku temu, aby „duch” Polski przyjął kształt podobny do tego, w jakim ujawniła swoje oblicze nowożytność, twierdzi Gombrowicz. Tak się wszak mogło stać, pisze, „gdyby... gdyby nie Mickiewicz”²⁸. „Niestety! [...] Największa słabość Mickiewicza na tym polegała, że był poetą narodowym, to jest utożsamionym z narodem i wyrażającym naród, a przeto niezdolnym ujrzeć narodu z zewnątrz jako czegoś „istniejącego w świecie”. Pozbawiony punktu oparcia w tym świecie zewnętrznym i we własnej indywidualnej jaźni, nie mógł ruszyć narodu z posad i – w tych warunkach – dokonał tego, na co było go stać, to jest zaopatrzył nas w taką piękność, jaka w danej chwili odpowiadała naszym narodowym interesom. Ponieważ utraciliśmy niepodległość i byliśmy słabi, przyozdobił

²⁴ Ibidem, s. 12.

²⁵ Ibidem, s. 13-14.

²⁶ Ibidem, s. 14.

²⁷ Ibidem, s. 13.

²⁸ Ibidem, s. 493.

słabość naszą pióropuszem romantyzmu, uczynił z Polski Chrystusa narodów, przeciwstawił naszą chrześcijańską cnotę nieprawości zaborców i wyśpiewywał piękno naszych krajobrazów. [...] Cnota stała się dla nas fundamentem piękności – i skwapliwie poddali się Polacy tej kosmetyce, nie bacząc, że to się odbywa kosztem życia. Mickiewicz, poeta narodowy, pokonanego narodu, narodu o zredukowanej żywotności, w gruncie rzeczy bał się życia, nie był on z tych artystów którzy drażnią byka [...]. Nie – był on raczej z tych nauczycieli i wychowawców, co to wolą unikać pokus i podczas gdy sztuka Zachodu była nieustannym podniecaniem i ekspansją, sztuka Mickiewicza to raczej ostrożne hamowanie”²⁹. I tak zaczęło się „wzajemne otepianie się Polaków w imię Mickiewicza...”³⁰; i Szopena. A taka, jak to określa Gombrowicz, „msza narodowa”, była wedle niego „z piekła rodem, [...] czymś szatańsko szyderczym i [...] groteskowym”³¹. Uczestnicy wspomnianych uroczystości bowiem, jak pisze, „wywyższając Mickiewicza, poniżali siebie – i takim wychwalaniem Szopena wykazywali to właśnie, że nie dorosli do Szopena – a lubując się własną kulturą, obnażali swój prymitywizm”³². „Cóż ma wspólnego z Szopenem pani Kowalska, zadaje tu pytanie Gombrowicz? Czy dlatego, że Szopen napisał ballady wzrasta choćby o szczyptę, ciężar gatunkowy pana Powalskiego? Czy bitwa pod Wiedniem może przysporzyć chociażby łut chwały panu Ziębickiemu z Radomia? Nie, nie jesteśmy [...] bezpośrednimi spadkobiercami ani wielkości przeszłej, ani małości – ani rozumu, ani głupoty – ani cnoty, ani grzechu – i każdy za siebie tylko jest odpowiedzialny, każdy jest sobą”³³. „Nic własnego nie może człowiekowi imponować; jeżeli więc imponuje nam wielkość nasza lub nasza przeszłość, to dowód, że one w krew nam nie weszły”³⁴. U Mickiewicza „wszechobjmująca dobroć [...] bała się zajrzeć prawdzie w oczy”³⁵.

I ta mentalność „zaścianka” swoje najpełniejsze rozwinięcie znalazła w twórczości Henryka Sienkiewicza. „Czytam Sienkiewicza, pisze Gombrowicz. Dręcząca lektura. Mówimy: to dosyć kiepskie, i czytamy dalej. Powiadamy: ależ to taniocha – i nie możemy się oderwać. Wykrzykujemy: nieznośna opera! i czytamy w dalszym ciągu, urzeczeni. Potężny geniusz! [...] Trudno też w dziejach literatury o przykład podobnego oczarowania narodu, bardziej magicznego wpływu na wyobraźnię mas. Sienkiewicz, ten magik, ten uwodziciel, wsadził nam w głowy Kmicica wraz z Wołodyjowskim oraz panem Hetmanem Wielkim i zakorkował je. Odtąd nic innego Polakowi nie mogło naprawdę się podobać, nic antysienkiewiczowskiego, nic asienkiewiczowskiego. To zaszpunktowanie naszej wyobraźni sprawiło, że wiek nasz przeżywaliśmy jak na innej planecie i niewiele z myśli współczesnej przenikało w nas. [...] Sienkiewicz to

²⁹ Ibidem, s. 493-494.

³⁰ Ibidem, s. 13.

³¹ Ibidem, s. 12.

³² Ibidem.

³³ Ibidem, s. 15.

³⁴ Ibidem, s. 16.

³⁵ Ibidem, s. 494.

wino, którym rzeczywiście upajaliśmy się i tu serca nasze były... i z kimkolwiek się rozmawiało, z lekarzem, z robotnikiem, z profesorem, z ziemianinem, z urzędnikiem, zawsze natrafiało się na Sienkiewicza³⁶. Gdzie tkwi źródło tego fenomenu? Tkwi ono, odpowiada Gombrowicz, w specyficznym dla kultury polskiej rozumieniu tego, co ujmuje on jako „urodę”³⁷ czy „żywność”³⁸. Można to ująć, jako to, co w człowieku, w świecie konkretnej jednostki, autentyczne; zgodne z jej instynktami; „grzech”³⁹. W tym wyraża się jej „piękność”⁴⁰. A ta, jak pisze Gombrowicz, „potrzebna jest nam [...], aby móc zakochać się w sobie i w swoim – w imię tej miłości stawić opór światu”⁴¹. Jest to, w rzeczy samej, twierdzi, kwestia rozstrzygnięcia, jak to ujmuje, „dylematu: cnota-żywność”⁴². Kultura polska czasów nowożytnych postawiła na to pierwsze. Przez to wszak problem nie został bynajmniej rozwiązany. Autentyczności nie da się obejść. W sytuacji zatem, kiedy cnota „zbyt wąskich dostarczała ujęć temperamentowi [...] szukano jak pojednać [...] [ją] z wdziękiem i urokiem, jak stworzyć typ Polaka, który byłby nie tylko do różańca, ale i do tańca. Rzec można, że szukaliśmy okazji do grzechu, ale, sparaliżowani wiekową tradycją, szukaliśmy li tylko grzechu złagodzonego, grzechu, który nie byłby podły, ani nikczemny, ani brzydki, ani straszny... tak, potrzebą naszą był raczej grzeszek sympatyczny, nie wzbudzający odrazy”⁴³. To „ukryte zapotrzebowanie”⁴⁴ doskonale wyczuł Sienkiewicz. „Typ Polaka, odziedziczony po Mickiewiczu [...] uczynił łatwiejszym, przystępniejszym i wdzięczniejszym, cnotę opieprzył grzechem, grzech ocukrzył cnotą i zdołał przyrządzić słodkawy likier niezbyt silny, a przecież podniecający z gatunku, który najbardziej smakuje kobietom. Grzech sympatyczny, grzech pocziwy, grzech uroczy, grzech „czysty” – oto specjalność tej kuchni”⁴⁵.

Sienkiewicz to „geniusz „łatwej urody”. Z przerażającą skutecznością splyca on wszystko, czego się dotknie, następuje tu swoiste pogodzenie życia z duchem, wszystkie antynomie, którymi krwawi się poważna literatura, zostają złagodzone i w rezultacie otrzymujemy powieści, które podlotki mogą czytać bez rumieńca. Dlaczegoż ten bezmiar tortur i okropności, jakimi wypełniona jest *Trylogia* lub *Quo vadis*, nie wzbudzają protestu we wrażliwych dziewczicach, które omdlewają, czytając Dostojewskiego? Gdyż wiadomo, że tortury sienkiewiczowskie opisane są „dla przyjemności”, tu nawet ból fizyczny staje się cukierkiem. Świat jego jest groźny, potężny, wspaniały, ma wszystkie zalety prawdziwego świata, ale naklejono na nim etykietkę »dla zaba-

³⁶ Ibidem, s. 490-491.

³⁷ Ibidem, s. 491 i *passim*.

³⁸ Ibidem, s. 492.

³⁹ Ibidem.

⁴⁰ Ibidem, s. 491 i *passim*.

⁴¹ Ibidem.

⁴² Ibidem, s. 496.

⁴³ Ibidem.

⁴⁴ Ibidem.

⁴⁵ Ibidem.

wy«⁴⁶. I tak to w efekcie tego przedsięwzięcia, jak pisze Gombrowicz, sfera szlachecko-ziemiańska, żyjąca na swoich folwarkach tym właśnie życiem ułatwionym i będąca, w znakomitej większości, rozpaczliwą bandą gnuśnych bęcwałów [...] uzyskała pełne zadowolenie z siebie. Nasiąknęła do cna z rozkoszą tymże stylem arystokracja, burżuazja, kler, wojsko i wszelki w ogóle żywiół, który pragnął wykpić się zbyt trudnym konfrontacjom, a patriotyzm, ten patriotyzm polski, tak łatwy i szparki w swoich początkach, a krwawy i olbrzymi w swoich skutkach, upajał się Polską sienkiewiczowską do nieprzytomności. Rozmaite hrabiny, inżynierowe, mecenasowe, obywatelki ziemskie i miejskie odnalazły na koniec tę „kobietę-Polkę”, w którą mógł wcielić się ich idealizm podparty męzowskim groszem i wychuchany przez służbę domową, i odtąd te kapłanki i strażniczki, te wiochny, te Oleńki i Baśki stały się nieprzemakalne i niedostępne wszelkiej rzeczywistości zewnętrznej [...]. Lecz, co gorzej, cała dusza narodu stała się niewrażliwa na świat zewnętrzny, jak to się dzieje z marzycielami, którzy wołają nie psuć sobie marzeń⁴⁷. W tym emocjonalnym stanie narodu „90% świata staje się mu niejadalne⁴⁸. Sienkiewicz „igra wartościami⁴⁹. Wedle Gombrowicza, „literaturę Sienkiewicza można by zdefiniować jako [...] propozycję „życia ułatwionego”⁵⁰. „Zabawa nie byłaby, sama przez się, taka zła – konkluduje Gombrowicz [...] gdyby ta [...] nie przybierała pozorów kultu wartości. Nikt nie broni sprzedawać kota, nie należy jednak sprzedawać kota w worku. Gdybyśmy zapytali Sienkiewicza: – Dlaczego upiększa pan historię? Dlaczego upraszcza pan ludzi? Dlaczego karmi pan Polaków stekiem naiwnych iluzji? Dlaczego usypia pan sumienia, tłumy pan myśl i hamuje postęp? – odpowiedź jest gotowa, zawarta w ostatnich słowach *Trylogii*: dla pokrzepienia serc⁵¹. Sienkiewicz, „ten demon, ta katastrofa naszego rozumu, ten szkodnik”⁵².

„Byłem Polakiem – wspomina Gombrowicz. Znajdowałem się w Polsce. Czymże jest Polska? Jest to kraj między Wschodem a Zachodem, gdzie Europa już poczyna się wykańczać, kraj przejściowy, gdzie Wschód i Zachód wzajemnie się osłabiają. Kraj przeto formy osłabionej... Żaden z wielkich procesów kultury europejskiej nie przeorał naprawdę Polski, ani renesans, ani religijne walki, ani rewolucja francuska, ani rewolucja przemysłowa; tu tylko złagodzone echa dochodziły. A współczesna rewolucja rosyjska też nie została przeżyta, tylko skutki jej dostały się (przymusowo) Polsce, już gotowe. Katolicyzm? Kraj jest wprawdzie w orbicie Rzymu, ale polski katolicyzm jest bierny, polega na ścisłym przestrzeganiu katechizmu, nigdy nie był twórczą współpracą z Kościołem. Na tych węgach równinach, otwartych na wszystkie wiatry, [...] [wszystko] rozmyzywało się [...], rozłaziło... Tu kultura była równinna, wiejska, po-

⁴⁶ Ibidem, s. 498.

⁴⁷ Ibidem, 499-500.

⁴⁸ Ibidem, s. 500.

⁴⁹ Ibidem, s. 497.

⁵⁰ Ibidem, s. 499.

⁵¹ Ibidem, s. 498.

⁵² Ibidem, s. 490.

zbawiona wielkich miast, silnego mieszczaństwa, gdzie życie się skupia, komplikuje, piętrzy, nabiera rozmachu, zasila tysiącem splotów międzyludzkich. Była szlachecko-chłopska, proboszczowska. [...] Gdzież była polska myśl oryginalna, polska filozofia, polski udział intelektualny w tworzeniu Europy?”⁵³ Polska jest częścią Zachodu; i nie jest... „Na niebie polskim – pisze – tym niebie omdlewającej, kończącej się Europy, zbyt wyraźnie widać jak skrawki papieru nadlatujące z Zachodu zniżają lot, by osiąść w błocie, na piasku, iż by jedynie chłopaki pasące krowy mogły z nich zrobić wiadomy użytek...”⁵⁴. Europa to kłamstwo. I Polska to kłamstwo; kłamstwo w kłamstwie; kłamstwo podwójne...

Co zrobić? „Szczerość! Jawność! Rzetelność!”⁵⁵ – odpowiada Gombrowicz. Idzie o to, aby „przedrzeć się poprzez Nierzeczywistość do Rzeczywistości”⁵⁶; „poprzez rzeczywistość umówioną docierać do ostatecznej”⁵⁷. Jest to program dla nowożytnej Europy. I jest to program dla Polski; program podwójnie trudny do zrealizowania, bo kłamstwo jest podwójne. Cel jest jednak jeden.

„Rzeczywistość” albo jest „rzeczywistością”, albo jej... nie ma. „Rzeczywistość umówiona” to – wedle Gombrowicza, jak wolno sądzić – oksymoron. „Człowiek [...] nie może wyrazić siebie przede wszystkim dlatego – relacjonuje swój zamysł Gombrowicz – że tylko to, co w nas jest już ułożone, dojrzałe, nadaje się do wypowiedzi, a cała reszta [...] jest milczeniem. Wobec czego forma będzie zawsze czymś dla nas kompromitującym – jesteśmy poniżeni formą. I nietrudno dostrzec jak, na przykład, cały nasz dorobek kulturalny, [...] będący dziełem ludzi podciągających się do poziomu, którzy są tylko na zewnątrz swoją mądrością, powagą, głębią, odpowiedzialnością (przemilczając odwrotną stronę medalu, nie mogąc jej ujawnić) – jak te wszystkie nasze sztuki, filozofie, moralności kompromitują nas, albowiem nas przerastają i, dojrzałe od nas, wtrącają nas w jakieś wtórne zdziecinnienie. My kulturze naszej nie możemy wewnętrznie sprostać. [...] W głębi jesteśmy wieczystymi chłystkami”⁵⁸. I tak autor „Dziennika” podejmuje wysiłek „przedarcia się”... „Próżnia męczy...”⁵⁹. Tę „odwrotną stronę medalu”, tę, która jest „milczeniem”, Gombrowicz określa mianem „niedojrzałości”⁶⁰. To pojęcie staje się tu zrozumiałe, jeżeli ujawni się jeszcze jedno, również całkowicie przemilczane, zjawisko. „Jeśli forma moja urabia się z innymi – twierdzi Gombrowicz – to mogą to być ludzie wyżsi ode mnie, lub niżsi”⁶¹. Czym jest „wyższość”? Czym „niższość”? W koncepcie Gombrowicza są to pojęcia kluczowe. „...Boskość generała [...], czytamy w „Dzienniku”. A boskość Prezesa? A boskość Dyrektorów lub Profesorów? A boskość Właściciela Dóbr albo Artysty?

⁵³ W. Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, s. 44–45.

⁵⁴ *Ibidem*, s. 46.

⁵⁵ W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1969*, s. 773.

⁵⁶ W. Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, s. 21.

⁵⁷ W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1969*, s. 572.

⁵⁸ *Ibidem*, s. 341–342.

⁵⁹ *Ibidem*, s. 663.

⁶⁰ *Ibidem*, s. 341 i *passim*.

⁶¹ *Ibidem*, s. 342.

Służba – niewolnictwo – korne poddanie się – zaprzepaszczenie w innym człowieku – oddanie się całkowite Wyższemu – to przenika ludzkość aż po same trzewia⁶². Nie jest to jednak kierunek jedyny... Czym jest „nie DOJRZAŁOŚĆ”? Jest to, rzecz jasna, przeciwieństwo „dojrzałości”. Jednakże, twierdzi Gombrowicz, wzajemne relacje pomiędzy tymi pojęciami kryją pewną tajemnicę. Problem bowiem w tym, iż „wyższy” w tej roli „dojrzałego” nie czuje się dobrze. Wedle autora *Ferdydurke* „człowiek nie lubi dojrzałości – [...] ponieważ woli młodość swoją”⁶³. I tak to w tej sytuacji „Niższy, Młodszy w stwarza na swój sposób wyższego”⁶⁴. Młodość to młodość. „Człowiek ma dwa ideały, boskość i młodość – twierdzi Gombrowicz. Chce być doskonały, nieśmiertelny, wszechpotężny – chce być Bogiem. Chce być kwitnący, świeży, wstępujący w życie – chce być Młody. Pragnie doskonałości, ale lęka się jej, bo wie, że jest śmiercią. Nie chce niedoskonałości, ale przyciąga go ona, bo jest życiem i pięknnością”⁶⁵. Jest bowiem tak, iż „nie ma „człowieka” samego dla siebie. [...] Skoro siebie nawzajem stwarzamy za pomocą formy, przyjąć też należy, że dorosły formując młodego sam jest przez niego formowany”⁶⁶. „Taka sobie myśl... [...] a [...] jakaż lampa rozświetlająca!”⁶⁷ „Kiedyś tłumaczyłem komuś, próbuje to jeszcze prościej ująć Gombrowicz, iż, aby należycie odczuć kosmiczne zaiste znaczenie jakie dla człowieka ma człowiek, należy wyobrazić sobie, co następuje: jestem zupełnie sam na pustyni; nigdy nie widziałem ludzi ani nie domyślałem się, że inny człowiek jest możliwy. Wtem ukazuje się w polu mego widzenia istota analogiczna, a jednak nie będąca mną – ta sama zasada wcielona w obce ciało – ktoś identyczny, a jednak obcy – i ja doznaję jednocześnie cudownego uzupełnienia i bolesnego rozdwojenia. Ale nad tym wszystkim góruje jedno objawienie: stałem się nieograniczony, nieprzewidywany dla siebie samego, pomnożony we wszystkich możliwościach swoich tą obcą, świeżą, a jednak identyczną siłą, która zbliża się do mnie jak gdybym to ja sam do siebie przybliżał się z zewnątrz. [...] Człowiek poprzez człowieka. Człowiek względem człowieka. Człowiek stwarzany człowiekiem. Człowiek spotęgowany człowiekiem. Czy to moje złudzenie, że widzę w tym utajoną nową rzeczywistość?”⁶⁸ Jest to, ukryty, motor historii. „Ha, wy ateści-demokraci chcielibyście mieć ludzi uszeregowanych równo, jak rośliny na grządkach, i podporządkowanych Idei, twierdzi Gombrowicz.. Ale na ten obraz poziomy ludzkości najeżdża inny, pionowy... [...]. Dlaczego zamykacie oczy na to nabożeństwo, jeśli ono odbywa się najdoskonalej bez Boga, a nawet brak Boga jest jego *conditio sine qua non*? Nie widzę [...] powodu dla którego współczesny niepokój metafizyczny nie miałby wyrazić się w ubóstwieniu człowieka, gdy Boga zabrakło”⁶⁹. „Aby to się stało – dodaje – musielibyście jedynie zwrócić uwagę na pewną właści-

⁶² Ibidem, s. 425.

⁶³ Ibidem, s. 342.

⁶⁴ Ibidem.

⁶⁵ Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, s. 122.

⁶⁶ Ibidem, s. 176.

⁶⁷ Ibidem, s. 122.

⁶⁸ W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1969*, s. 33-34; 35.

⁶⁹ Ibidem, s. 425-426.

wość ludzkości, polegającą na tym, że ona musi nieustannie się kształtować. Jest ona jak fala, złożona z miliarda chaotycznych drobin, lecz co chwila przybierająca kształt określony. [...] „Ludzie” to coś co w każdej chwili musi się organizować. [...] Oto dlaczego w ludziach następuje proces wywyższania jednego kosztem innych, jednego nad innych – i to parcie wzwyż [...], będzie [...] stwarzaniem w ludzkości sfery wyższej, podzieli ją na piętra, z łona gminu wzniesie się królestwo dostojniejsze, będące dla niższych zarazem okropnym ciężarem i cudownym wzlotem. Dlaczego odmawiacie czci temu *przypadkowemu* wyrabianiu się z nas świata, jeśli nie bogów, to półbogów? Któż wam broni ujrzeć w tym Boskość wstającą z samych ludzi, nie zaś z nieba zstępującą?”⁷⁰ „Wyższość” jest „niższością” na skutek jej działania w kierunku „nie-dojrzałości”. „Niższość jest „wyższością” na skutek jej działania w kierunku „dojrzałości”. Jedno i drugie, w dialektycznym powiązaniu, daje „parcie wzwyż”. Gombrowicz pokazuje Europie „a kuku!”⁷¹.

Jeszcze raz Paryż. „Na ścianie mojego pokoju – wspomina Gombrowicz – wisiał oleodruk, będący tą chwilą ze sklepienia kaplicy Sykstyńskiej, gdy Bóg w postaci potężnego starca nadciąga nad Adama, by tchnąć w niego życie. Przyglądałem się Adamowi, który miał około lat dwudziestu, i Bogu, który był po sześćdziesiątce – zapytywałem siebie, kogo wolisz, Boga czy Adama? Dwadzieścia wolisz czy sześćdziesiąt? I to pytanie wydało mi się szalenie ważne, ba, decydujące – gdyż nie jest obojętne jaki ideał człowieka i ludzkości śpi w tobie, jakiej piękności domagasz się od rodzaju ludzkiego, jakim go chcesz mieć, tego człowieka. Człowiek – tak – ale w jakim wieku? [...] Jaki człowiek jest dla ciebie właściwym człowiekiem... najpiękniejszym... najszczęśliwiej uformowanym fizycznie, duchowo? A może dziecko uważasz za najwyższe osiągnięcie piękności ludzkiej? Może starca? Czy też myślisz, że wszystko ponad trzydziestkę, lub poniżej, jest już „gorsze”? Wpatrując się w Boga i Adama, medytowałem, że najwspanialsze dzieła ducha, rozumu, techniki, mogą stać się niezadowolające z tego jedynie powodu, iż są wyrazem wieku ludzkiego, który nie jest w stanie wzbudzić miłości ani zachwyty – i będziesz musiał je odrzucić, niejako wbrew własnemu uznaniu, w imię racji bardziej namiętnej, związanej z pięknnością człowieczeństwa. I, dopuszczając się małego świętokradztwa, odrzucałem Boga na tym obrazie Michała Anioła, by opowiedzieć się za Adamem. To zaś robiłem, by wykuć broń przeciw Paryżowi”⁷². Człowiek to „nie-dojrzałość”; człowiek to „młodość”; człowiek to „nagość”. „Nie wymagam od nich, pisze Gombrowicz, aby prostodusznie uwielbiali ciało, naturę, naturalność i nie żądam, by wyśpiewywano hymny do nagusów. Ale wymagałbym od człowieka, aby w nim żyła (choćby był potworem) idea piękności gatunku ludzkiego. [...] Dlatego jest ważne, bardzo nawet ważne, abyśmy nie zrywali w sobie z okresem wieku ludzkiego, w którym piękno staje się dostępne – to młodość. Jakakolwiek bowiem piękność, uzyskana w starszym wieku, będzie zawsze pięknnością niepełną, skażoną brakiem młodości. Oto czemu piękność młoda jest pięknnością nagą.

⁷⁰ Ibidem, s. 426-427.

⁷¹ Ibidem, s. 737.

⁷² Ibidem, s. 758-759.

[...]. I ktoś stale zespolony z młodością nigdy nie polubi stroju. [...] Dlatego nigdy nie pogodzę się z Paryżem”⁷³. Istota człowieka tkwi w Adamie. „Dorosły jest nauczycielem, mistrzem, pana Młodego. Ale czyż ten Dorosły nie uczęszcza po cichu do innej szkoły, gdzie Młody nad nim rządy obejmuje? Czyż wściekła dynamika życia, to sprężenie, zdławienie, stanowiące o jego energii, byłoby bez tego możliwe? [...] W owym zdławieniu wzajemnym powstają ładunki energii, odwaga, śmiałość, furia, nadludzkość, tu się rodzą, zabarwione lekkością, niewinnością. Udział Młodości w naszym życiu dorosłym, udział niedojrzałości nie został dostatecznie wydobyty na światło dzienne”⁷⁴. „Nietzscheanizm i jego afirmacja życia? – stawia pytanie Gombrowicz. Ale Nietzsche nie miał najmniejszego wyczucia tych spraw, trudno wyobrazić sobie coś bardziej papierowego, a nawet śmiesznieszego i w gorszym smaku niż jego nadczłowiek i jego młoda bestia ludzka, nie, nieprawda, nie pełnia, ale właśnie niedostateczność, gorszość, niższość, niedojrzałość są właściwe temu, co jeszcze jest młode, czyli żywe”⁷⁵. A czym jest to co „młode”? „Szedłem zaniepokojony, wspomina Gombrowicz, kiedy szedł za pucybutem. [...] Ja idący za chłopcem z gminu. [...] Szedłem uwiedziony tą *inną* uczciwością, rzetelnością, prostotą, czystością. [...] Szedłem za tymi jego prostymi plecami, jawnym karkiem, spokojnymi rękami! [...] Przejrzystość ciała! Rzetelność ciała! Albowiem ciało stwarzało grę potrzeb i wartości prostą, jasną, dla tego czanga wartością było to, co zaspokajało jego potrzeby cielesne, zwykłe potrzeby zdrowego ciała, więc on był właściwie biernym terenem gry sił naturalnych, nie był niczym więcej jak tylko naturą – i dlatego jaśniał przede mną w mroku czysty, prosty i przejrzysty. Moralny jak pies, jak koń! Moralny jak zwykle zdrowie! A ja? A mnie podobni? O, my zerwaliśmy z logiką ciała i byliśmy wytworem skomplikowanych czynników, wywodzących się już nie z natury w ogóle, a ze specyficznej natury ludzkiej, my, wytwór ludzkości, produkt tej „drugiej natury”, jaką jest natura człowieczeństwa. Byliśmy perwersją, wyrafinowaniem, komplikacją, byliśmy Duchem [...]. Mówiłem sobie, roztrzęsiony: – Do diabła! Nie zapominaj kim jesteś! On jest tylko ciałem [...] mierzwa! [...] A jednak [...] – ciągnie dalej Gombrowicz – nadaremnie wyśpiewywałem hymny na własną cześć. One goryczą były zaprawione i woń zgnilizny unosiła się wokół. Poczulem na tej pustej ulicy, że nie da rady, [...], szedłem [...] zdecydowany na morderstwo. Musiałem zepchnąć go do rzędu zwierząt i zostać sam, w człowieczeństwie moim, nie było dopuszczalne dalsze tolerowanie podwójnej ludzkości, jego i mojej, albo ja musiałem stać się potworem, albo on – zwierzęciem, nie było innego wyjścia...”⁷⁶. „Najostrzejsza prawda ludzka”, jak twierdzi Gombrowicz, jest taka: „Człowiek jest nienaturalny, antynaturalny”⁷⁷. Jego „natura” jest „specyficzna”. Człowiek to Adam; młodość; „niedojrzałość”. „Zrozumieć mnie – zwierza się autor „Dziennika”. [...] Miałem stwarzać wartości – jednak coś jak podwartość lub

⁷³ Ibidem, s. 770.

⁷⁴ W. Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, s. 122-123.

⁷⁵ W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1969*, s. 227.

⁷⁶ Ibidem, s. 470-471.

⁷⁷ Ibidem, s. 369.

niedowartość stało mi się cenne. Wenus miłońską, Apolla, Partenon, Sykstyne i wszystkie fugi Bacha oddawałem za jeden trywialny żart wypowiedziany ustami zbratanymi z poniżeniem, ustami poniżającymi”⁷⁸.

Pierwszy zapis z 1954 roku, Argentyna: „*Piątek*. Zjawiłem się na tej zabawie tańecznej (było to w Nowy Rok) o 2-giej rano, mając w sobie, oprócz indyka, sporo wódki i win. [...] Usiadłem w ogródku – gdzie niespodziewanie tłum rozlał się w pary i zatańczono. Nastąpiło to za sprawą muzyki, która jednak z miejsca mojego prawie nie dawała się słyszeć i dochodziła do mnie li tylko głuchym odgłosem perkusji lub kilkoma tonami skocznej melodii, ginącej zaledwie dała znak istnienia. A niebiańskiemu wezwaniu rozigranych fragmentów, które objawiały się zawsze konsekwentne, zawsze skupione wokół jakiejś, mnie niedostępnej frazy, odpowiadał tu rytm ciał zabawny i gwałtowny, dowcipny i natrętny, do rozpuku roztańczony [...] aż zdawało się, że nie muzyka wywołuje taniec, lecz taniec muzykę [...]. Ale cóż za taniec! Taniec brzuchów, taniec rozbawionych łysin, taniec zwiędłego oblicza, taniec spracowanej, zwykłej codzienności, która tu hulała przy święcie, taniec szarości i nieforemności. To nie znaczy, aby ta publiczność była gorsza od jakiejkolwiek innej – ale byli to przeważnie ludzie starsi i, ostatecznie, była to zwykła ludzkość wraz ze swoją nieuniknioną nędzą – ta zaś nędza w sposób bezwstydną pyszniła się sobą w podrygach – które to podrygi, pozbawione muzyki, były czymś bluźnierczo bezczelnym, przerażająco pogąńskim i dziko rozwiązyłem... Wyglądało, jak gdyby oni postanowili siłą zdobyć i pojąć Piękność, Żart, Elegancję, Wesołość i oto, puściwszy w płas defekty swoje i całą swoją przyziemność, wytwarzali wspólnie kształt roztańczony, rozbawiony... do którego nie mieli prawa, który był właściwie uzurpacją. [...] A więc taniec stwarzał muzykę, taniec gwałtem zdobywał melodię i to wbrew niedoskonałości swojej! Na widok tej myśli doznałem jakże głębokiego wzruszenia – gdyż ze wszystkich myśli świata, ta właśnie była dla nas, dzisiaj, najważniejsza, nam najbliższa, tak to objawienie czało się za zasłoną, o której żarliwie mówiłem do siebie wierszem Valéry’ego w tłumaczeniu bodaj Lechonia:

Snu ciężka brama, wciąż nieukończona

Ciężko wznosząca się z rubinu zasłona...

...[...] I to było na dnie naszych ksiąg, naszych zmagania, naszego geniuszu, naszej niebosiężnej śmiałości! Ku tej idei – że taniec stwarza muzykę – parła ludzkość wszystkimi drogami swoimi, ona stała się natchnieniem i metą mojego czasu”⁷⁹. Gombrowicz się „gapi”. I co widzi? Widzi „taniec”; taniec „pysznej ludzkości”; widzi – wbrew „nędzy” i „starości” – Piękno. Młodość, jeżeli podjąć się jakiegoś jej „zdefiniowania”, kojarzy się z Adamem, wiekiem, pięknym ciałem, nagością. Jest to jednak ułomne przybliżenie ... Młodość dla autora *Ferdydurke* coś, co określa dążność ludzkiego ducha, każdej jednostki; także starca. Młodość – powtórzmy – to młodość.

W 1959 roku Gombrowicz notuje: „Parę lat temu pewien znany publicysta skarcił mnie w prasie krajowej, że mój *Dziennik* okropnie prowincjonalny... że to właściwie

⁷⁸ Ibidem, s. 228.

⁷⁹ Ibidem, s. 99-100.

tylko „nieustające wariacje na temat: Polska i ja”... Przetarłem oczy – czy w pijanym widzie ten człowiek, przecież nie wiem czy 10% dziennika jest o sprawach polskich⁸⁰. A jednak przez wszystkie karty „Dziennika” – mniej lub bardziej wyraźnie – przewijają się te „sprawy”. „Polak – pisze – wbrew stagnacji swojej myśli, tu, na obczyźnie, i wbrew terrorowi, który go dławi tam, w ojczyźnie, wbrew pustce, która go tu i tam wysysa, gorączkowo poszukuje siebie. A to oznacza, że znajdujemy się w stadium myśli radykalnej, zasadniczej, nawet karkołomnej i nie ma dla nas zbyt krańcowej decyzji⁸¹. I w takim „stadium” znajduje się Gombrowicz. A jest tak dlatego, iż, jak zauważa, „brak nam klucza do naszej zagadki⁸². To zaś wedle niego wynika z „polskiej sytuacji pośredniej, dzięki której kraj nasz jest po trosze karykaturą zarówno Wschodu jak Zachodu. Wschód polski jest Wschodem umierającym w zetknięciu z Zachodem (i *vice versa*), wobec czego „coś tu zaczyna szwankować⁸³”. A „być krajem przejściowym nie jest łatwo⁸⁴”. „Byłoby fatalne – zwierza się Gombrowicz – gdybym wzorem wielu Polaków, delectował się niepodległością 1918–1939. [...] Powietrze wolności zostało nam dane, abyśmy przystąpili do rozprawy z wrogiem bardziej dręczącym niż dotychczasowi ciemieźcy – z sobą. [...] Czekał nas bój z Polską. Nic dziwnego zatem, że niepodległość okazała się cięższa i bardziej upokarzająca od niewoli. Póki byliśmy pochłonięci buntem przeciw obcej przemocy, pytania: kim jesteśmy? co mamy z siebie zrobić? jak gdyby zasnęły – ale niepodległość zbudziła śpiącą w nas zagadkę. Z odzyskaniem wolności powstał przed nami problem istnienia. Na to, aby naprawdę zaistnieć, musielibyśmy siebie przerobić. Ale taka przebudowa była nad nasze siły, [...] w samej strukturze narodu tkwił fałsz i gwałt [...]. A nasza słabość ostrzegła nas, abyśmy siebie nie ruszali – bo a nuż wszystko gotowe się rozpaść. Polskę ówczesną nosiliśmy na piersiach jak pancierz don Kiszota, wołąc na wszelki wypadek nie sprawdzać jego wytrzymałości⁸⁵. Zarzuca mu się, informuje, iż ma „niezdrowy romans i zasadniczy szal” z polskim [...] dziedzictwem”. Z jakimże mam mieć – odpowiada? Z chińskim?⁸⁶ „Ojczyzny... Jak się do nich dobrać? zadaje pytanie Gombrowicz. [...] Ja o Polsce pisałem zawsze chłodno, [...] dla mnie Polska była i jest tylko jednym z rozlicznych moich kłopotów, ani na chwilę nie zapominałem o *drugorzędności* tego tematu⁸⁷”.

Polska to temat drugorzędny. Jednak pytanie o Polskę w Europie już takie nie jest. Dziś, pisze Gombrowicz w polemice z egzystencjalizmem, „nie ma myśli ani sztuki, które by nie krzyczały ci wielkim głosem: nie uchylaj się, nie igrzaj, podejmij rozgrywkę, przyjm odpowiedzialność, nie wykpiwaj się, nie uciekaj! Dobrze. Ja przecież, pomimo wszystko, także wolałbym nie kłamać własnemu bytowi. Więc spróbowałem

⁸⁰ Ibidem, s. 542.

⁸¹ Ibidem, s. 190.

⁸² Ibidem, s. 25.

⁸³ Ibidem, s. 597.

⁸⁴ Ibidem, s. 926.

⁸⁵ Ibidem, s. 238.

⁸⁶ Ibidem, s. 435.

⁸⁷ Ibidem, s. 434.

w sobie tego życia autentycznego i pełnej lojalności wobec egzystencji. Ale cóż chcecie? Nie da się. Nie da się, ponieważ ów autentyzm okazał się bardziej skłamanym niż wszystkie moje poprzednie finty, igraszki i skoki razem wzięte. [...] Kiedy zastosowałem do życia maksymalną świadomość, próbując ufundować na tym moją egzystencję, spostrzegłem, iż dzieje się ze mną coś głupiego. Trudno i darmo. Nie da się. Jest niepodobieństwem podjąć wszystkie wymogi Daseinu, a zarazem pić kawę z rogalikami na podwieczorek. Lękać się nicości, ale bardziej bać się dentysty. Być świadomością, która chodzi w spodniach i rozmawia przez telefon. Być odpowiedzialnością, która załatwia drobne sprawunki na mieście. Dźwigać na sobie ciężar bytu znaczeniowego, nadawać sens światu, i wydawać resztę z 10 pezów. Cóż chcecie? [...] Choćbyście tysiąc razy mnie „przekonali”, zawsze pozostanie w tym jakaś elementarna śmieszność nie do zniesienia! [...] Wyczuwałem, że poza świadomością jest byt”⁸⁸. „Duch ludzki” zabrnął tu w „mądrą głupotę”⁸⁹. I nie ma w tym właściwie niczego zaskakującego. „Dzieje kultury – jak zauważa Gombrowicz – wykazują, że głupota jest siostrą bliźniaczą rozumu, ona rośnie najbujniej nie na glebie dziewiczej ignorancji, lecz na gruncie uprawnym siódmym potem doktorów i profesorów. Wielkie absurdy nie są wymyślane przez tych, których rozum krząta się wokół spraw codziennych. Nic dziwnego zatem, że właśnie najintensywniejsi myśliciele bywali producentami największego głupstwa – rozum jest maszyną, która dialektycznie sama siebie oczyszcza, ale to oznacza, że brud jest jej właściwy. [...] Co do mnie – uzupełnia – nie mogę uwierzyć, aby Sokrates, Spinoza czy Kant byli ludźmi naprawdę i całkowicie poważnymi. Twierdę, że nadmiar powagi jest uwarunkowany nadmiarem niepoważy. Z czego rodziły się [...] owe majestatyczne koncepcje? [...] Nie poznamy nigdy brudów tej genyzy [...], nie poznamy dróg, na których Kant-dziecko, Kant-młodzieniec przemienił się w Kanta-filozofa... ale dobrze byłoby pamiętać, że kultura, wiedza, są czymś o wiele lżejszym niż się wydaje. Lżejszym i bardziej dwuznacznym. Niemniej imperializm rozumu jest straszny”⁹⁰. A „życie śmieje się z rozumu”⁹¹. „Dlaczego zmuszony jestem śmiać się?” – zadaje pytanie Gombrowicz. I odpowiada: „Dlatego po prostu, że w świadomości również się wyżywam”⁹².

„Dziwne i piękne: te głowy spokojne, oczy rozważne, punktualność, spokój, dobry humor... a jednocześnie to wszystko rozpędzone w przyszłość, galopujące – wspomina Gombrowicz swój pobyt w Niemczech. [...] Produkcja! Technika! Nauka!”⁹³ „Kiedy wyszedłem o świcie na mroźną ulicę, dogasał w Berlinie Nowy Rok, samochody wracały wypełnione, jeszcze rozbawione. Spokój już jawił się i sen... w mieście, pełnym pugilaresów, zegarków, pierścionków, swetrów pierwszorzędnych... [...] Ale już było wiadomo, że jutro miasto zacznie pracować znowu, na zwiększonych ob-

⁸⁸ Ibidem, s. 290-291.

⁸⁹ Ibidem, s. 291.

⁹⁰ Ibidem, s. 291-292.

⁹¹ Ibidem, s. 292.

⁹² Ibidem, s. 293.

⁹³ Ibidem, s. 802-803.

rotach, w tempie, które co dzień odrobinę się przyśpieszało; a ta praca była solidna, normalna, jakby nigdy nic, coraz lepsze przynosząca rezultaty... praca zdrowa... Ulice wygodne, o drzewkach uszeregowanych, domy mocne, zażywne, spokojne... Berlin robi wrażenie kogoś idącego równo, pewnie, tyle tylko, że nie wiadomo *dokąd*. – Co oni sobie *zrobią?* – pytałem sam siebie, a słowo „zrobić” brzmiało mi jednocześnie jak „zrobić coś” (wyprodukować) i „zrobić coś sobie”⁹⁴. „Ich zdrowie! Ich równowaga! Ich dobrobyt! [...] Dla nich luksus bywa poświęceniem, spokój mieszczański – zażartym napięciem, i że, gdy łagodnie w śnieżno-słoneczne południe przystają przed swoimi wystawami, medytując czym by tu jeszcze się uraczyć, to właśnie wtedy gdzieś w ich górach, na ich pustyniach, rodzą się im ciśnienia, lawiny i w parciu, w mozole, w huku i trzaskaniu, w warkocie wszystkich trybów, dokonuje się im nowy krok w Nieznane”⁹⁵. „Cała Europa, odkąd wylądowałem w Cannes, wydała mi się jak oślepiąca praca...”⁹⁶. „Chcę pisać jak najdalej od polityki... – oświadcza Gombrowicz. Co jest głupie, być może, gdyż gwałtowne odrodzenie ekonomiczne Republiki Federalnej zaważyło na całej Zachodniej Europie i stało się etc. etc. etc. Wiadomo. I śnieg pada, białość spowijająca, o której prawie zapomniałem, cisza białości, miękkość białości zasnuwającej, jej senność, uparta, spadająca z wolna, zacierająca... Sen. Sen. Zamiast żebym miał być tutaj czujnym obserwatorem, wolę moje sny opowiadać, jestem senny, trzeźwość moja też jest rodzajem snu, czasem jak gdybym się budził, zacznym mówić bardziej do rzeczy, ale zaraz spada mi na czoło jeden, drugi, płatek śniegu usypiającego... Zasnąłem, odkąd opuściłem Argentynę – i do tej chwili się nie obudziłem. Śnieg. Sen. Jeśli to już mają być moje obserwacje... to chciałbym, żeby możliwie najbardziej zostały rozluźnione snem”⁹⁷. I jeszcze raz Berlin. „Koncerty i wystawy – teatry i kina – odczyty i recytacje... Owszem. Nowoczesne. Zracjonalizowane, zorganizowane, coraz bardziej „naukowe”. Owszem. Ale ty, poeto, jeśli chcesz dotrzeć do źródła, musiałbyś zstąpić w podziemia”⁹⁸. I tak pytanie o Polskę, zadane w kontekście Europy, przestaje być tematem „drugorzędnym”.

„Czytając mój dziennik, jakiego doznajecie wrażenia?, zadaje pytanie Gombrowicz. Czyż nie takiego, że wieśniak z Sandomierskiego wszedł do fabryki roztrzęsionej, wibrującej i spaceruje po niej jakby chodził po własnym ogrodzie? Oto piec rozżarzony, w którym fabrykują się egzystencjalizmy. [...] Tam warsztat poezji, gdzie tyśięc ociekających siódmym potem robotników w pędzie zawrotnych taśm, trybów, operuje coraz ostrzejszym nożem superelektromagnetycznym w coraz twardszym materiale, tam zasię kotły bezdenne, w których warzą się ideologie, światopoglądy i wiary. Oto czeluść katolicyzmu. Tam dalej huta marksizmu, tu młot psychoanalizy, oto studnie artezyjskie Hegla i obrabiarki fenomenologiczne, tam dalej stopy galwaniczne i hydrauliczne surrealizmu, lub też pragmatyzmu. I fabryka pędząc i pędząc w łoskocie

⁹⁴ Ibidem, s. 803.

⁹⁵ Ibidem, s. 804.

⁹⁶ Ibidem, s. 803.

⁹⁷ Ibidem, s. 805.

⁹⁸ Ibidem, s. 829.

i wirze produkuje i produkuje coraz to doskonalsze instrumenty, te zaś instrumenty służą do ulepszenia i przyspieszenia produkcji, więc coraz to wszystko staje się potężniejsze, gwałtowniejsze, bardziej precyzyjne. Ale ja przechadzam się pośród tych maszyn i wytworów z miną zamyśloną i zresztą bez większego zainteresowania, zupełnie jak gdybym chodził po sadzie tam u siebie, na wsi. I co pewien czas, próbując tego lub owego wyrobu (jak gruszkę lub śliwkę), mówię: – Hm... hm... to jakieś dla mnie za twarde. Albo: – To, na moją miarę, zbyt obfite. Albo: – Do diabła z tym, to niewygodne, za sztywne. Lub też: – Ha, nie byłoby to złe, gdyby nie było takie rozpalone! Więc robotnicy obrzucają mnie spode łba niechętnym wzrokiem. Oto, wśród producentów, zjawiał się konsument! Tak! Być ostrym, rozumnym, dojrzałym, być „artystą”, „myślicielem”, „stylistą” tylko do pewnego stopnia i nie być nigdy za bardzo i właśnie z tego „nie za bardzo” uczynić siłę równą wszystkim bardzo, bardzo, bardzo intensywnym siłom. Pilnować w obliczu zjawisk gigantycznych własnej, ludzkiej miary⁹⁹. A dlaczego tak? „Prawdziwy bój w kulturze – przypomina Gombrowicz – [...] nie toczy się, [...] między wrogimi prawdami czy też odmiennymi stylami życia. [...] A także nie jest najważniejsza ta inna antynomia: kultura-dzikość, wiedza-nie-wiedza, jasność-ciemność, owszem, można by powiedzieć, że to są zjawiska, które współgrają, wzajemnie się uzupełniają. Natomiast najważniejszy i najbardziej drastyczny i nieuleczalny spór, to ten, który wiodą w nas dwa podstawowe nasze dążenia: jedno, które pragnie formy, kształtu, definicji, drugie, które broni się przed kształtem, nie chce formy. Ludzkość jest tak zrobiona, że wciąż musi siebie określać i wciąż uchylać się własnym definicjom. Rzeczywistość nie jest czymś, co dałoby się bez reszty zamknąć w formie. Forma nie jest zgodna z istotą życia. [...] Cała [...] nasza dialektyka – filozoficzna, etyczna – toczy się na tle bezmiaru, któremu na imię niedokształt, który nie jest ani ciemnością, ani jasnością, lecz właśnie mieszaniną wszystkiego, fermentem, nieporządkiem, nieczystością i przypadkiem. [...] Żadna myśl ani forma w ogóle nie zdoła objąć bytu i, im bardziej wszechobjmująca, tym bardziej kłamiwa. [...] W moich utworach ukazałem człowieka rozpiętego na prokrustowym łożu formy, znalazłem własny język dla ujawnienia jego głodu formy i jego niechęci do formy. [...] Zbliżyłem się [...] do pewnego widzenia człowieka [...]. Spróbowałem dotrzeć do tego najtrudniejszego królestwa zakochanej w sobie niedojrzałości. [...] A jednocześnie związałem ten obszar przeżycia z podłożem moim – z Polską¹⁰⁰. Wszak „każdy widzi świat ze swego miejsca¹⁰¹. Myśl europejska „stacza się w grzech. Głupia przez nadmiar mądrości. Słaba wskutek nadmiaru siły. Ciemna, bo nazbyt spragniona jasności¹⁰². Czy zatem w tym stanie rzeczy, zadaje retoryczne pytanie Gombrowicz, „nie ufając nadmiernie rozumowi, pozwolić światu, aby sam się stwarzał? [...] – Tak, odpowiada – [Tu] rozum już nie pyta, jaki ma być świat, a tylko zwięzając pole swojego zasięgu: jak ja mam postępować w świecie? I staje się tym, czym był od wieków, to

⁹⁹ Ibidem, s. 145-146.

¹⁰⁰ Ibidem, s. 146-148.

¹⁰¹ W. Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, s. 47.

¹⁰² W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1969*, s. 139.

jest narzędziem rozeznania jednostki, w skali życia indywidualnego. I w tej zredukowanej skali czuje się pewniejszy¹⁰³. Jest bowiem tak, iż „człowiek jest istotą stworzoną do życia w sferze średniego ciśnienia, średnich temperatur. Znamy dziś chłód śmiertelny, znamy ogień żywy, ale zapomnieliśmy sekretów letniego wietrzyka, który orzeźwia, pozwala oddychać. Wolność! Na to aby być wolnym, potrzeba nie tylko chcieć być wolnym – potrzeba chcieć być wolnym nie za bardzo”¹⁰⁴. I takie jest przesłanie twórczości autora *Dziennika*. „Ja jestem myślą niezaostrzoną, istotą średnich temperatur, duchem w stanie pewnego rozluźnienia... Tym, który rozładowuje. Jestem jak aspiryna, która, jeśli wierzyć reklamie, usuwa nadmierny skurcz”¹⁰⁵.

I oto jego „podłoże”; Polska. „Polski katolicyzm. Katolicyzm taki, jak urobił się historycznie w Polsce, rozumiem jako przrzucenie na kogoś innego – Boga – ciężarów nad siły. Jest to zupełnie stosunek dzieci do ojca. Dziecko jest pod opieką ojca. Ma go słuchać, szanować i kochać. Wypełniać jego przykazania. Więc dziecko może pozostać dzieckiem, ponieważ wszystko „ostateczność” przekazana jest Bogu-Ojcu i jego ziemskiej ambasadzie, Kościołowi. Polak uzyskał w ten sposób świat zielony – zielony, gdyż niedojrzały, ale zielony także dlatego, że w nim łąki, drzewa są kwitnące, nie zaś czarne i metafizyczne. Życ na łonie natury, w świecie ograniczonym, pozostawiają czarny wszechświat Bogu. Mnie, który jestem okropnie polski i okropnie przeciw Polsce zbuntowany, zawsze drażnił polski światek dziecienny, wtórny, uładzony i pobożny. Polską nieruchomość w historii temu przypisywałem. Polską impotencję w kulturze – gdyż nas Bóg prowadził za rączkę. To grzeczne polskie dzieciństwo przeciwstawiłem dorosłej samodzielności innych kultur. Ten naród bez filozofii, bez świadomej historii, intelektualnie miękkki, duchowo nieśmiały, naród który zdobył się tylko na sztukę „pocziwą” i „zacną”, rozlały naród lirycznych wierszopisów, folkloru, pianistów, aktorów, w którym nawet Żydzi się rozpuszczali i tracili jad... Mojej działalności literackiej przyświeca idea, żeby wydobyć człowieka polskiego ze wszystkich rzeczywistości wtórnych i zetknąć go bezpośrednio z wszechświatem – niech sobie radzi jak może. Pragnę zrujnować mu jego dzieciństwo. Ale teraz, w tym szumie napierającym, w obliczu własnej bezsilności, w tej niemożności sprostania, przychodzi mi do głowy, że popadłem w sprzeczność ze sobą. Rujnować dzieciństwo? W imię czego? W imię dojrzałości, której sam ani znieść, ani przyjąć nie mogę. Przecież Bóg polski [...] jest właśnie wspaniałym systemem utrzymania człowieka w sferze pośredniej bytu, jest tym uchYLENIEM się od ostateczności, którego domaga się moja niedostateczność. Jak mogę chcieć, żeby nie byli dziećmi, jeśli sam *per fas et nefas* chcę być dzieckiem? Dzieckiem, ale takim, które dotarło do wszystkich możliwości dorosłej powagi i doznało ich. W tym cała różnica. Naprzód odepchnąć wszystkie ułatwienia, znaleźć się w kosmosie tak bezdennym, jak tylko to dla mnie możliwe, w kosmosie o zasięgu maksymalnej mojej świadomości, i doświadczyć tego, że się jest zdany na własną samotność i własne siły – wtedy dopiero, gdy otchłań, której nie zdołałeś okiełznać,

¹⁰³ Ibidem, s. 137-138.

¹⁰⁴ Ibidem, s. 140.

¹⁰⁵ Ibidem, s. 145.

zrzuci cię z siodła, siądnij na ziemi i odkryj na nowo trawę i piasek. Aby dzieciństwo stało się dozwolone, trzeba dojrzalność doprowadzić do bankructwa. Bez błagi, kiedy wymawiam słowo „dzieciństwo”, mam wrażenie, że wypowiadam najgłębszą treść, i jeszcze nieobudzoną, narodu który mnie spłodził. Ale to nie dzieciństwo dziecka, tylko trudne dzieciństwo dorosłego¹⁰⁶. „Ja ze wsi jestem [...] – stawia całą kwestię na ostrzu noża Gombrowicz. Mój *Dziennik* [to] [...] wdarcie się w kulturę europejską wieśniaka czy szlachcica, szlachcica polskiego ze wsi, z nieufnością wieśniaka, z chłopskim zdrowym rozumem, z chłopskim realizmem. [...] Jeśli mój dziennik może przydać się na co, to głównie jako przeciwstawienie wiejskiego rozluźnienia tym wszystkim natężeniom, piętzącym się bez wytchnienia w łonie milionowych stolic Europy i Ameryki. Mógłbym określić siebie jako szlachcica polskiego, który odkrył swoją rację bytu uniwersalną w tym, co nazywam dystansem do formy (a więc i do kultury). Szlachcic polski – zjawisko nieco anachroniczne – nie cieszy się na ogół sympatią świata. Tym lepiej! W to mi graj! Pokażę, jaką siłę może mieć szlachecka krytyka wartości! Co jest moją siłą? Ależ to, że wszystko w życiu jest takie sobie... byle jakie... niezupełne... pomieszane... niedostateczne... Że to jest prawdziwy język życia, a nie ten wypolerowany, wysilony, wywindowany, jakim wy operujecie! [...] I nie widzę dlaczego szlachcic nie miałby być najnowocześniejszym człowiekiem świata... jeśli potraktuje siebie w sposób naprawdę nowoczesny¹⁰⁷”.

„Dążyłem do tego, oświadcza Gombrowicz, żeby Polak mógł z dumą powiedzieć: należę do narodu podrzędnego. Z dumą. Albowiem [...] takie powiedzenie tyleż poniżej co wywyższa. Ono degraduje mnie w moim charakterze członka zbiorowości, ale zarazem osobiście wywyższa mnie ponad zbiorowość: oto nie dałem się oszukać; jestem zdolny osądzić własne umieszczenie w świecie; umiem zdać sobie sprawę z mojej sytuacji; jestem przeto człowiekiem pełnowartościowym. [...] Posuwałem się w tym żądaniu dalej niż to dotąd było przyjęte – nawet Francuzi, Anglicy czy Amerykanie [...]. Ale przecież im to nie było potrzebne! Należeli do narodów potężnych i przodujących [...]. Z nami rzecz miała się inaczej, my nie mogliśmy zezwolić, aby nasza przeszłość kulturalna, nasz poziom zbiorowy, nasza konwulsyjna historia, nasza bieda narodowa, wyznaczały nam granice. Nie, wcale nie było moim zamierzeniem, abyśmy tylko z lekka rozluźnili sobie patriotyzm do miary angielskiej lub francuskiej. Proponowałem Polakom postawę wobec narodu bardziej radykalną – i bez precedensów – coś, co by natychmiast wyodrębniło nas z masy narodów, uczyniło narodem o innym i wyłącznym stylu. – Szaleństwo! – powiecie. – I mrzonka! – Tak? – zapytam. – A od czegoż jesteśmy najgorętszymi w świecie patriotami? Czyż nie dlatego właśnie jest w nas materiał na najzimniejszych antypatriotów? W nas rozżarzenie miłości ojczyzny osiągnęło maksimum, uzależnienie nasze od niej stało się najokropniejsze – więc w nas, nie w kim innym, winna pojawić się zbawcza antyteza, twórcza opozycja, będąca krokiem naprzód. [...] Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że Polacy [...] – zmęczeni i zrozpaczeni historią ojczyzny – żyją na dnie serca swojego podwójnym

¹⁰⁶ Ibidem, s. 280-281.

¹⁰⁷ W. Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, s. 114-115.

uczuciem. Uwielbiali Ją? Tak, ale i przeklinali. Kochali? Tak, ale i nienawidzili. Była dla nich świętością i przekleństwem, siłą i słabością, chwałą i upokorzeniem – ale w stylu polskim, [...], dawała się wyrazić tylko jedna strona medalu. [...] Więc cały mój zabieg sprowadzał się do stworzenia zasady, która by pozwoliła [...] usankcjonować herezję¹⁰⁸. A to oznacza tyle: „Nie lekceważmy Sienkiewicza. [...] Jak nikt, wprowadza on w te zakamarki naszej duszy, gdzie się urzeczywistnia polskie wymigiwanie się życiu, polskie uchylanie się prawdzie. Nasza „powierzchnowość”, nasza „lekkość”, nasz w gruncie rzeczy nieodpowiedzialny, dziecinny stosunek do życia i do kultury, nasza niewiara w pełną rzeczywistość egzystencji [...] ujawnia się tutaj tym gwałtowniej, im bardziej się tego wstydzi. Jeżeli nowoczesna myśl polska [...] pocźnie tępić w nas te „wady” i przerabiać naszą naturę – [...] [to] doprowadzi do jednej więcej groteski¹⁰⁹. Sienkiewicz to szansa...

Myśl europejska; „głupia”, „słaba”, „ciemna”... I tu pojawia się w *Dzienniku* nowy element. „Dla mnie, pisze Gombrowicz, wszelkie dążenie człowieka do wydobycia się z siebie, [...] – jest naiwnością, skazaną na fiasko. To rodzaj męczeńskiego mistycyzmu. I temu dążeniu do odczłowieczenia (które zresztą sam podejmuję), musi koniecznie towarzyszyć dążenie do uczyłowienia, w przeciwnym razie rzeczywistość rozpada się, jak domek z kart, i grozi utonięcie w werbalizmie nierzeczywistości. [...] Im bardziej człowiek staje się [...] nieuchwytny, nieosiągalny, otchłanny, zanurzony w innych żywiołach, uwięziony w formach, jak gdyby nie własnymi ustami artykułowany, tym bardziej nagłaça, pałająca, staje się obecność człowieka zwyczajnego, takiego jakim go mamy w codziennym naszym doświadczeniu i codziennym naszym odczuwaniu: człowiek z kawiarni, z ulicy, konkretnie nam dany. Osiągnięcie pogranicza ludzkiego musi być natychmiast zrównoważone gwałtownym wycofaniem się w zwykłą ludzkość i ludzką przeciętność. Można się zanurzać w otchłani ludzkiej, ale pod warunkiem, że się znów wypłynie na powierzchnię. Gdyby jednak – istotnie uzupełnia Gombrowicz – chciano ode mnie najgłębszej i najtrudniejszej definicji tego kogoś, o kim mówię, [...] powiedziałbym po prostu, że ten ktoś, to Ból. Albowiem rzeczywistość to to, co stawia opór; czyli to, co boli. A człowiek rzeczywisty to taki, którego boli. Cokolwiek by nam nie opowiadano – kontynuuje swój wywód Gombrowicz – istnieje na całym obszarze Wszechświata, w całej przestrzeni Bytu, jeden jedyny element okropny, niemożliwy, nie do przyjęcia, jedna jedyna rzecz naprawdę i absolutnie przeciwna nam, a miazdząca: ból. Na nim, na niczym innym, oparta jest cała dynamika istnienia. Usunięcie ból, a świat stanie się obojętny...”¹¹⁰. To, co „stawia opór” – „boli”. „Ta ziemia, pisze Gombrowicz, po której stąpamy, tak pokryta jest bólem, brodzimy w nim po kolana – i jest to ból dzisiejszy, wczorajszy, przedwczorajszy, oraz sprzed tysiącleci – albowiem nie trzeba się łudzić, ból nie rozplywa się w czasie i krzyk dziecka sprzed trzydziestu wieków nie jest ani trochę mniej krzykiem od tego, który trzy dni temu się rozlegał. Jest to ból wszystkich pokoleń i wszystkich istnień –

¹⁰⁸ W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1969*, s. 356-357.

¹⁰⁹ Ibidem, s. 501.

¹¹⁰ Ibidem, s. 880-881.

nie tylko człowieka¹¹¹. Ból, „gad, kryjący się w ciemnym łonie bytu. [...]! [...] To tylko ważne – ślepią okrutne Bólu w tej czarnej studni¹¹². „Ja bardzo boję się diabła, zwierza się Gombrowicz. [...] Od idei diabła nie jestem w stanie się uwolnić... [...] Cóż z policji, z praw, ze wszystkich zabezpieczeń i środków ostrożności, jeśli Potwór przechadza się wśród nas swobodnie i nic nas przed nim nie chroni, nic, nic, żadnej zapory między nim a nami. Ręka jego wśród nas swobodna, jak najswobodniejsza!¹¹³ „Dynamika...” „Formy należy się bać!¹¹⁴

„Ba! komentuje ten stan rzeczy Gombrowicz. To może za poważne, żeby na ten temat filozofować... Naprawdę groźne. Ale chciałbym zanotować, że dla [współczesnych] [...] myślicieli [...] świat jest ciągle, mimo wszystko, terenem raczej spokojnych, jeśli nie olimpijskich, spekulacji mózgowych. Te wszystkie analizy są zdrowe o tyle, że [...] są produkowane przez profesorów nieźle się miewających i wygodnie umieszczonych w swoich fotelach. Zupełnie dziecinne lekceważenie bólu jest u podstaw tego niezmordowanego układania klocków intelektualnych. [...] Dzisiejsze obiektywizmy robią wrażenie czegoś spłodzonego w stanie znieczulenia¹¹⁵. Tu jednak, uprzedzając krytykę, która się tu narzuca, zauważa: „Podkreślmy sprzeczności powyższego wyводу. Bo ja zarazem domagam się człowieka „rozluźnionego” i człowieka „zwyczajnego”; a jednocześnie człowieka przeszytego bólem. Sprzeczność jest pozorna¹¹⁶. „Jak ci uwierzyć, gdy czynisz ze sztuki paladyna osobowości?, rekonstruuje możliwe obiekcje Gombrowicz [...] Jak możesz czynić zarzut naukowcom, że nauka ich paczy, gdy według ciebie akurat tak samo sztuka paczy swoich ludzi, stwarzając się sama, poza artystą, narzucając mu formę?... – Pozwól. Nie przeczę, sztuka też jest „pozaludzka”, albo ściślej „międzyludzka” – odpowiada. Ale artysta tym się różni od naukowca, że on chce być sobą... [...] To cały sekret osobowości, ta wola, ta żądza, decyduje o naszym stosunku do deformacji, sprawia, iż deformacja zaczyna boleć. Choćby mnie siły zewnętrzne ugniatały, jak figurkę z wosku, pozostanę sobą póki będę nad tym cierpieć, przeciw temu protestować. W proteście przeciw zniekształceniu zawiera się nasz kształt autentyczny. I twierdzisz, że ludziom nauki obcy jest ten protest? – Ależ tak! Oni – obiektywni – gotowi zawsze rozplnąć się w swojej rzeczowej prawdzie... nie, oni nie są powołani do przeżywania rozdźwięku pomiędzy człowiekiem a formą! Jeśli się tym zajmują, to naukowo – czyli bez cierpienia – czyli bez przeżycia... – Więc myślisz, że ten ból, to przeżycie, może podjąć jedynie artysta? O, nie! – odpowiada Gombrowicz. To cierpienie powszednie, każdego człowieka; ale może bardziej nateżone w tych, co oddali się z większą pasją sprawie wyrażania... I zauważ, konkluduje, że inwazja nauki rokuje sztuce najpiękniejszą karierę. W niej ujrzymy kiedyś jedynego naszego przyjaciela i obrońcę. [...] Pomyśl tylko! Gdy bu-

¹¹¹ Ibidem, s. 554.

¹¹² Ibidem, s. 650.

¹¹³ Ibidem, s. 553-554.

¹¹⁴ W. Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, s. 174.

¹¹⁵ W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1969*, s. 881.

¹¹⁶ Ibidem.

dząc się pewnego poranka, spostrzeżesz, że za przyczynieniem się bio-fizjologicznych metod wyrosła ci w ciągu nocy druga głowa z tyłka, gdy, widząc to, przerażony, stracisz głowę i nie będziesz już wiedział, która z tych głów jest twoją właściwą głową – cóż ci pozostanie, jeśli nie krzyk grozy, buntu, protestu, rozpaczy... krzyk, że się nie zgadzasz! Ten to krzyk znajdzie swojego poetę... i zaświadczy że wciąż [...] jesteś tym, kim byłeś wczoraj”¹¹⁷.

„Deformacja zaczyna boleć”. Wysilek ucłowieczenia „bólu” może się dokonywać na dwóch drogach. Jeden kierunek to „parcie wzwyż”. Drugi – to kierunek przeciwny. „Czyż człowiek, zadaje pytanie Gombrowicz, będący zawsze poniżej wartości, zawsze skompromitowany (tak dalece, iż być człowiekiem, to znaczy być „gorszym”, gorszym od tego, co on wytwarza) nie poszuka wyładowania swego życia psychicznego w sferze jemu właściwej, to jest w sferze tandety?”¹¹⁸. Argentyna. Zapis z 1962. „Ilość! Idę na stację omnibusową, umieszczam siebie w kolejce, z narożnego baru – słodkawy smród, za mną i przede mną osoby, kuper i nochal, anemia i liszaj, jeden kupczyk drugiemu, że na trzy procent sto siedemdziesiąt pięć, baba babie, że pięć trzydzieści, podróżowało, a radio kieszonkowe: „kupujcie szparko mydło w proszku Tarko”. Chłopaczek daje sobie prztyczka. Słońce. Mdło. Tutaj stoimy w kolejce, a tam, na przeciwnym chodniku, idą i idą, mijają i mijają, bez przerwy liżą i liżą, skąd tyle tego, przecież już jestem o dwadzieścia kilometrów od centrum Buenos Aires! A jednak mijają i mijają, wciąż wyłażą z za rogu i przechodzą, i wyłażą i przechodzą, i wyłażą i przechodzą, i wyłażą, aż zwymiotowałem. Zwymiotowałem, a ten co przede mną stał spojrział i nic, bo i cóż! Tłok. Ja znowu zwymiotowałem i – nie wiem, czy nie przesadzarn – jeszcze raz zwymiotowałem. Cóż jednak z tego znowu i z tego jeszcze raz, kiedy tam znowu przechodzą i jeszcze przechodzą, a w samym Buenos Aires jest z pięć milionów pięć razy dziennie chodzących do wychodka, czyli w sumie dwadzieścia pięć milionów na dwadzieścia cztery godzin, zwymiotowałem, podjechał omnibus i wsiadaliśmy, jeden za drugim, a trzeci za drugim i siódmy za szóstym, szofer ziewał, przyjmował pieniądze, wydawał bilety, płaciliśmy jeden za drugim, ruszamy, jedziemy, radio, przygrzewa, duszno, przelewa się przede mną roztopione masło rozlewającej się jejmości ze złotym naszymnikiem, a staruszkowi coś się gaworzy, wpychają się, napychają, wypychają, pchają, ja bym zwymiotował... Po co? Miliony! Miliony! Miliony! Iluż wymiotowało w tej samej chwili w Buenos Aires, ilu? Ze stu może, w sumie, ze stu pięćdziesięciu? Więc po co dodawać jeden więcej wymiot? Jakież bogactwo! Milionerem byłem, wszystko mnożyło mi się przez tysiąc i milion. Zatrzymuje się omnibus. Tu mam wysiadać. Wysiadam. Jestem na szosie z walizeczką... któż tego nie zna? Szosa długa, z szumem mijają samochody, oddalam się piaszczystą drogą, wietrzyk, drzewa, odległość, cisza...”¹¹⁹. I kolejny zapis, w tym samym czasie. „Na południowym wschodzie brud nieba zwiastuje Buenos Aires. Czy mógłbym teraz zapłakać? O tak, jestem dość litościwy, aby sięść tutaj na pierwszym lepszym kamieniu

¹¹⁷ Ibidem, s. 636-637.

¹¹⁸ Ibidem, s. 342.

¹¹⁹ Ibidem, s. 673-674.

i płakać rzewnymi łzami nad własnym człowieczeństwem i wszystkich braci moich – ale gdym ogarnął wzrokiem zagony tej hołoty, pracę ku nam poprzez łąkę, napierające, gdym ujrzał jak ONI znów podchodzą, znów dosięgają, obrzydzenie i nienawiść przemogły płacz. „Idzie na ciebie, Makbecie, zielony, szumiący las!...” Na mnie nie las szedł, tylko rozmnażający się brud...”¹²⁰. Inna impresja; „Zmierch – i olbrzymie sklepienie pampy wyrzuca z siebie gwiazdy, jedną po drugiej [...] – a świat namacalny drzew, ziemi, liści, ten jedynie przyjazny i wiarogodny, rozplynął się w jakimś niewidzeniu, nieistnieniu... zatarł się. Mimo to idę, brnę i brnę, ale już nie drogą, tylko w kosmosie [...] Czyż glob ziemski, sam zawieszony, może zapewnić grunt pod nogami? Znalazłem się w bezdennej otchłani, w łonie wszechświata [...] Więc można by oszaleć, gdyby się nie było przyzwyczajonym... Piszę w pociągu. [...] Jestem spokojny, siedzę, patrzę przez okno, przyglądam się kobiecie, która siedzi naprzeciwko i ma ręce drobne, piegowate A zarazem jestem tam, w łonie wszechświata. Wszystkie sprzeczności dają sobie we mnie *rendez-vous* – spokój i szal, trzeźwość i pijaństwo, prawda i błaga, wielkość i małość – ale czuję, że znów na szyi kładzie mi się dłoń żelazna, która powoli, tak, bardzo nieznacznie... ale się zaciska”¹²¹. „Gorycz człowieczeństwa. Furia człowieczeństwa. Rozpętanie człowieczeństwa. Cisza człowieczeństwa...”¹²². I tak powracamy do Polski. „Miłosz chce, pisze Gombrowicz, aby inteligencja polska dogoniła Zachód. Jest tu wyrazicielem powojennego polskiego zrywu w kierunku „europejskości” i „nowoczesności”. A ja, szlachcic-hreczkosiej, panie święty, starej daty, wyciągam rękę i powiadam: – Z wolna! Nie tędy droga! Po diabła wam to? Po pierwsze, nie dogonicie, gdyż formy myślenia i jego styl powoli tylko się wykształcają. Po drugie, nie warto, bo z tym więcej zawracania głowy niż czego innego. Po trzecie, byłoby dobrze, gdybyście wzięli pod uwagę, co następuje: dziś atuty są po waszej stronie; wasze powoli zaczyna być na wierzchu; to, co dotychczas było waszym wstydem, może być wprowadzone w Europę jako punkt wyjściowy zbawiennej rewizji. Dziś, moim zdaniem, polska „letniość” ma szanse i nie powinna się wstydzić. Z przyjemnością usłyszałbym polski głos w Europie, stwierdzający pod adresem intelektu: dość, nie rozumiem, nie mogę, nie chcę. Tylko tyle, nic więcej”¹²³. „Świat wokół mnie staje się coraz bardziej skonstruowany, coraz mniej podobny do szumiącego drzewa, coraz bardziej podobny do łazienki. Odstręczająca czystość, gładkość błyszcząca emalii i metalu, chłód i logika, rury i krany nad ślniącą wanną – [...] – i kąpiel w tej wannie nie jest kąpielą w jeziorze. W tej ubikacji ja, zamknięty na klucz, wymiotuję”¹²⁴.

Tandeta, „niedojrzałość szczególna, produkt uboczny intelektualnego prerafinowania, niemożliwego do strawienia”¹²⁵.

¹²⁰ Ibidem, s. 677.

¹²¹ Ibidem, s. 312.

¹²² Ibidem, s. 551.

¹²³ Ibidem, s. 707-708.

¹²⁴ Ibidem, s. 300.

¹²⁵ W. Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, s. 175.

„A proletariat? Nie rozumiem! Nie mogę zrozumieć!, pisze Gombrowicz. Ach, przez pół godziny co najmniej starałem się „zrozumieć” robotnika, stojącego na rogu, wgapionego w róg przeciwny. Co i jak on myśli? Jakie i jak mu się snują wątki? Nie da się. Istnieje luka jakaś przekłeta – jakaś dziura w nim, przez którą nie sposób się przebić. Dlaczego tak dobrze, bez żadnych trudności, wczuwam się w dzieci, w młodzież proletariacką – a dorosły chłop, czy robotnik, są zablokowani dziwną pustką, okropną próżnią?...”¹²⁶. I kolejny zapis: „Znów go ujrzałem! Jego! Chama! Ujrzałem, jedząc milutkie śniadanko w cukierence, zawieszony nad ogrodami. Święty proletariacie! On (owocarz, przyjechał wózkami) był przede wszystkim przysadkowaty i pośladkowaty – ale był także paluchowaty i pucółowaty – i żyrty, krępy, krwisty, wychrapany w betach z babą i jakby z wychodka. Mówię „z wychodka”, bo w nim pośladek silniejszy od gęby; cały był jak osadzony na pośladku. Niewiarygodnie silne parcie w chamstwo znamionowało całość, rozlubowany w tym, rozfiglowany, zatwardziały, a także straszliwie w tym pracowity i aktywny, przerabiający na chamstwo cały świat! I kochał siebie! Co począć z nim? [...] Co począć? Gdybyż niższość była zawsze młoda! Zawsze młodsza! Młodość jest jej zbawieniem, jej naturalnym i uświęcającym żywiołem... nie, nie jest dla mnie problemem niższość czarująca... Ale znaleźć się oko w oko z chłopem, nie z chłopcem – i musieć go wytrzymać w jego podwójnej brzydocie leciwego chama. Podwójnej? Ona poczwórna – bo ja, który na niego patrzę, jestem we wszystkich burżuazyjnych delikatnościach moich dośpiewaniem tamtej ohydy, nadaję się do niej, jak negatyw, jesteśmy dwie mały, jedna z drugiej wynikające... Dwie mały leciwe! Brrr... Czy wiecie, jakie jest najokropniejsze ze wszystkich spotkań? Spotkać się z lwem na pustyni? Z tygrysem w puszczy? Z duchem? Z diabłem? Ależ to idylla! Gorzej, stokroć gorzej, gdy błądy inteligent natknie się na topornego chama pod warunkiem, że zabraknie młodości; że to spotkanie odbędzie się we wzajemnym wstręcie dorosło-ludzkim, jakiego nigdy nie doznasz z lwem, który cię pożera; że skąpane zostanie w fizycznym przekwitaniu; i musisz tego człowieka znosić, wraz z sobą, w tym abschmacku, w sosie tej idiosynkrazji, w przekleństwie tej karykatury! Dręczy, męczy ten cham dorosły... nie mogę się odczepić! Chodzące świństwo jego!”¹²⁷ Powszechne oświecenie? „Zostawcie chamów w spokoju!”¹²⁸

„Ja byłem Polakiem, zwierza się Gombrowicz. Ustępy mojego *Dziennika*, dotyczące polskości, zostały bardzo niedokładnie przeczytane przez czytelnika zachodniego. Mówiono mi nawet: lepiej by było żeby pan to usunął, cóż nas to może obchodzić! Czas już – odpowiada – by synowie kultur wyższych przestali zbyt pośpiesznie zadziierać nosa. Podstawcie pod słowo „Polska” Argentynę, Kanadę, Rumunię itd., a moje wywody (i moje cierpienia) rozszerzą się wam na sporą część świata, na wszystkie kultury europejskie wtórne, drugorzędne. Przyjrzyjcie się jeszcze lepiej: zobaczycie, że to sprawy jadowite, które i was nie oszczędzają”¹²⁹. Jego wieloletni pobyt w Argentynie

¹²⁶ W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1969*, s. 420.

¹²⁷ Ibidem, s. 428.

¹²⁸ Ibidem, s. 410.

¹²⁹ W. Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, s. 44.

nie każe mu spojrzeć przez jej pryzmat na Polskę (a także *vice versa*). Argentyna to także kraj „formy osłabionej”. „Nie wiedzą, pisze, że jestem poniekąd specjalistą od ich głównego problemu – niedojrzałości – i że cała moja literatura jest w nim mówiona. Paradoksalne, że w Ameryce Południowej Borges, abstrakcyjny, egzotyczny, niezwiązany z ich kłopotami, jest na świeczniku, a ja mam tylko garstkę czytelników. Paradoks, który przestaje nim być, gdy się zważy, że Borgesem mogą się popisać w Europie. Mną — nie, bo jestem Polak, nie jestem *valor nacional*. To, że oni nie chcą być potulnymi uczniami obcych kultur, uważam za słuszne. A także zgadzam się, że mają własną rzeczywistość i że tylko opierając się na niej, mogą stać się kimś w świecie... Ale moim zdaniem, popełniają jeden błąd, dramatyczny... Mianowicie, zamiast powiedzieć „ja”, mówią „my”. My, Amerykanie. My, Argentyńcy. Otóż, gdy człowiek pojedynczy mówi „my”, popełnia nadużycie, nikt go do tego nie upoważnił, jemu wolno przemawiać tylko we własnym imieniu. A już ten, kto pragnie dojść do „swojej rzeczywistości” i oprzeć się na niej, powinien jak ognia unikać formy mnogiej. Co to jest „nasza rzeczywistość”? Ja mogę być pewny tylko „mojej rzeczywistości”. Co to jest Ameryka, Amerykanie? Pojęcie, uogólnienie, abstrakcja. Co to jest „rzeczywistość amerykańska”? Coś, co każdy może rozumieć, jak chce. Różnica pomiędzy nimi a mną sprowadza się do tego, że oni chcieliby *naprzód* odkryć rzeczywistość amerykańską i wyzwolić Amerykę od zależności europejskiej, a dopiero w następstwie ma się wytworzyć nowy typ Amerykanina – dojrzałego. Ta nowa Ameryka, odkryta i zdefiniowana, stworzy swoich ludzi. A według mnie trzeba zacząć od człowieka, pojedynczego człowieka i więcej powiem: rozwój Ameryki może być tylko dziełem ludzi, którzy Amerykę w sobie przezwyciężyli. Mówisz, że ta twoja Ameryka zacofana, niedojrzała? Dobrze. Ale w takim razie pierwszym twoim zadaniem byłoby wyzwolić się spod jej hamującego wpływu. Jako człowiek jesteś równie dobry co Anglik czy Francuz. Jako Kubańczyk, czy Paragwajczyk, jesteś gorszy. Poczuj się tedy człowiekiem, umieść się powyżej tej Ameryki niedorozwiniętej, nie pozwól, żeby cię spętało środowisko i sposób myślenia amerykański. Tylko, że... im ta niedojrzałość właśnie narzuca słówko „my”. Są w fazie stadowej, ta faza jest fazą Południowej Ameryki i nie są w stanie z niej wybrnąć. „Ja” jest dla nich za samodzielne, za swobodne. Oni są „my”. Są Ameryką. A będąc Ameryką, jakże mogą ją ruszyć z miejsca? Ugrzęźli wraz z nią w historii. Amen. Wiele z tego nadawałoby się do Polski i Polaków”¹³⁰.

Europa. „Już w zaraniu myśl rozbija się u Platona i Arystotelesa – pisze Gombrowicz – na myśl subiektywną i obiektywną. Arystoteles poprzez Tomasza z Akwinu dosięga rozmaitymi drogami naszych czasów, a Platon poprzez św. Augustyna, poprzez Descartes’a, poprzez osłepiający wybuch Kantowskiej krytyki i z niej się wywodzącą linię idealizmu niemieckiego, poprzez Fichtego, Schellinga, Hegla, poprzez Husserlowską fenomenologię i egzystencjalizm, dochodzi do potężnego rozkwitu, większego niż za pierwszych dni”¹³¹. „Myśl subiektywna”. Rzecz w tym, jak zauważa, „do Descartes’a rozum zachowywał się na ogół spokojnie, ponieważ sądził, że wszystko może być zro-

¹³⁰ W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1969*, s. 605–606.

¹³¹ W. Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, s. 158.

zumiane. Ale już Krytyka Czystego Rozumu, a potem Schopenhauer, Nietzsche, Kierkegaard i inni zaczęli wyznaczać tereny niedostępne myśleniu¹³². Okazało się, jak o tym była mowa, że „życie śmieje się z rozumu”. Dla nowożytności, przełomowe jest tu, rzecz jasna, wystąpienie Descartes’a; jej „ojca”. Problem „formy” w istocie bierze się od niego. Jak jednak podkreśla Gombrowicz, „w kartezjanizmie tkwi zarówno możliwość formy, jak i dystansu do formy”¹³³. Tym światem, gdzie ta „możliwość” się objawia, gdzie się ona – bez reszty – realizuje, jest w każdym czasie i miejscu konkretna jednostka. I od niej zaczyna się *Dziennik. Ja*. „Ja – pisze Gombrowicz – jestem najważniejszym i bodaj jedynym moim problemem: jedynym ze wszystkich moich bohaterów, na którym mi naprawdę zależy”¹³⁴. „Kolosalny nacisk, jakiemu dziś jesteśmy poddani ze wszystkich stron – iż byśmy wyrzekli się własnej egzystencji – jak każdy postulat, niedający się zrealizować, doprowadza tylko do skrzywienia i sfalszowania życia. Ktoś na tyle nieuczciwy wobec samego siebie, iż może powiedzieć: cudzy ból jest dla mnie ważniejszy niż własny, z miejsca wpada w tę „łatwość”, która jest matką werbalizmu i wszystkich ogólników, i wszystkiego zbyt gładkiego uwznioślenia. Jeśli o mnie idzie – nie, nigdy, przynigdy. Ja *jestem*”¹³⁵. „Rzeczywistość [...] – komentuje Gombrowicz *Ferdydurke* – ta ogólna, obiektywna, nie jest żadną rzeczywistością. Prawdziwa rzeczywistość, to ta właśnie, prywatna. Nie wolno mi napisać „zupa pomidorowa jest dobrą zupą”. Cóż za uzurpacja!. Ale jestem w moim prawie, gdy mówię „mnie smakuje zupa pomidorowa”. To właściwy sposób mówienia! Oto styl!”¹³⁶ *Ja*. „Słowo „ja” – pisze Gombrowicz – jest tak zasadnicze i pierworodne, tak wypełnione najbardziej namacalną, a przeto najuczciwszą rzeczywistością, tak nieomylnie jako przewodnik i surowe jako probierz, iż zamiast nim gardzić, należałoby paść przed nim na kolana”¹³⁷. „Ach! Być niczym więcej, jak tylko sobą, swoim „ja” jedynie – jakież to piękne! Jasne, niedwuznaczne. Mocno stoi się na własnych nogach. Wiesz, co to rzeczywistość – twoja rzeczywistość. Jesteś z dala od bełkotu, wrzasku, upajania się, oszukiwania, deklamacji, terroru...”¹³⁸. Tak, istotnie uzupełnia Gombrowicz, „chcę być sobą, tak, choć wiem, że nie ma nic bardziej zwodniczego niż to „ja” nieosiągalne, wiem też, że cały honor i wartość życia polega na nieustannej za nim pogoni, nieustannej jego obronie”¹³⁹. W jego twórczości, jak zauważa, „nie Polska jest tematem, tematem, jak zawsze, jestem ja, ja sam, to są moje przygody, nie Polski. Tyle tylko, że jestem Polakiem”¹⁴⁰. Jestem, jak to określa, „obywatelem”¹⁴¹. „Wiem, czego mam domagać się od narodu i wiem co

¹³² W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1969*, s. 292.

¹³³ W. Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, s. 144.

¹³⁴ W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1969*, s. 179.

¹³⁵ *Ibidem*, s. 178–179.

¹³⁶ W. Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, s. 40–41.

¹³⁷ W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1969*, s. 179.

¹³⁸ *Ibidem*, s. 604.

¹³⁹ *Ibidem*, s. 305.

¹⁴⁰ *Ibidem*, s. 361.

¹⁴¹ *Ibidem*, s. 362.

w zamian mogę mu dać”¹⁴². Gombrowicz w wyimaginowanej dyskusji z Wyspiańskim; „On: – Boleję nad przywarami narodu polskiego, ponieważ jestem od narodu polskiego dojrzały. Ja: – Nie boleję bynajmniej nad narodem polskim, boleję tylko nad własną niedojrzałością, a naród obchodzi mnie jedynie jako jeden z czynników, który mi niedojrzałość moją urabiają; ja zatem biorę się za łby z narodem, tak jak biorę się za łby z każdym innym zjawiskiem, które mi dojrzałość utrudnia lub uniemożliwia; co jednak nie znaczy, abym był dojrzały od moich rodaków, nie, ja tylko jestem bardziej świadomy swej niedojrzałości i to pozwala mi uzyskać dystans; ale wyznam, że, z drugiej strony, ta niedojrzałość zachwyca mnie i urzeka i wypełnia rozkoszą. Albowiem jestem zarazem dojrzałą Niedojrzałością i niedojrzałą Dojrzałością... [...] Moja „krytyka” narodu nie ma nic wspólnego z tradycyjną w naszej literaturze krytyką; [...] ona wsparta na innym samopoczuciu, innej wizji, innej teorii. I [...] to w ogóle nie jest żadna krytyka, a tylko walka o mój byt psychiczny i walka o formę tenże byt określającą – gdzie ja, jednostka, zmagam się ze środowiskiem nie w imię wyższej, obiektywnej, racji, a w imię mojej racji. [...] [W ujęciu tradycyjnym polskość jest] dziełem sztucznej dojrzałości, tego, że jeden dla drugiego i wobec drugiego staje się bardziej patriotą niż jest. [...] Jednostka jest czymś bardziej podstawowym od narodu. Wyprzedza naród”¹⁴³. „Wyobraźcie sobie ten szok – uzupełnia – gdy dumne „ja jestem Francuzem” Francuza i „ja jestem Anglikiem” Anglika spotkałoby się z polskim niespodziewanym „ja jestem niezupełnie Polakiem, jestem powyżej Polaka”¹⁴⁴. „Utwierdzić się w tym „ja” – oświadcza – wbrew wszystkiemu, z maksimum bezczelności, z jakąś upartą niedbałością, w sposób nie nadmierny, ale właśnie naturalny – to było [...] powołanie mojego *Dziennika*”¹⁴⁵.

I takie ujęcie relacji: jednostka – naród stanowi podstawę pedagogii Gombrowicza.

„Raz na zawsze zerwać z mistyfikacją. [...] Trzeba [...] zerwać z Polską i przeciwstawić się Polsce, przedstawia swój program, odnosząc to do własnej twórczości, Gombrowicz. Dla Polaków Polska, jak dla Francuzów Francja, jest skarbem godnym najwyższego poświęcenia. Otóż było rzeczą absolutnie nieodzowną stwierdzić, że Polska, twór pośredni między Wschodem a Zachodem, wydana wskutek swoich warunków geograficznych i historycznego rozwoju niedoskonałości i podrzędności, musi być przewyżczona, albowiem nie jest w stanie zapewnić Polakom jakiegokolwiek pełnej wartości. Nie jest słuszne, by Polak poświęcał swój osobisty rozwój, swoje człowieczeństwo, na rzecz Polski. Polak urobiony przez Polskę, przez swoje środowisko, przez swoją tradycję, z konieczności musiał być gorszym człowiekiem od ludzi Zachodu. Można od biedy zrozumieć, że Francuz uwielbia Francję, Anglik Anglię, gdyż one im dostarczają wielu cennych przewag. Ale być człowiekiem więcej znaczy, niż być Francuzem, a też Europa więcej znaczy niż Anglia czy Francja. Więc dla ludzi, umieszczonych w krajach gorszych, słabszych, jak Polska, Argentyna, Bułgaria, przykutych uczuciowo do nich, im poddanych, przez nie urabianych, było sprawą napraw-

¹⁴² Ibidem.

¹⁴³ Ibidem, s. 403-404.

¹⁴⁴ Ibidem, s. 404.

¹⁴⁵ W. Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, s. 109.

dę życia i śmierci oderwać się, uzyskać dystans... Nie, tu nie wystarczą jakieś „konstruktywne” krytyki wad i usterek własnego narodu, robione w duchu patriotycznym ku udoskonaleniu narodu. Taka krytyka też jest uwarunkowana narodem. Zerwać! Dystans! Pisarz, artysta czy w ogóle ktoś, komu zależy na rozwoju duchowym, musi poczuć się człowiekiem, mieszkającym w Polsce, w Argentynie, musi uznać Polskę, Argentynę, jako przeszkodę, jako coś wrogiego. To tylko może zapewnić pełnię swobody. Ludźmi naprawdę swobodnymi duchowo, naprawdę, jeśli idzie o Europę, europejskimi, staną się ci, dla których ojczyzna będzie przeszkodą raczej niż atutem do wykorzystania. [...] Chciałem być, [...] – zwierza się Gombrowicz – jak owi młodzieńcy, co pojawiają się na stacjach miast prowincjonalnych z tobołkiem, gotowi do drogi, i na widok nadchodzącego pociągu mówią: tak, muszę się oderwać od miasta mnie za ciasne, żegnaj, miasto, powrócę może do ciebie, ale tylko, gdy szeroki świat urodzi mnie po raz drugi. – Nie chcę od tej chwili być Polakiem; będę zupełnie sam! – Sam? Ależ samotność wyda cię na pastwę własnym twoim prywatnym nędzom! – W takim razie daj mi nóż! Muszę dokonać cięcia bardziej radykalnego! Muszę odciąć się od siebie samego!”¹⁴⁶ „Żyć, żyć za wszelką cenę. Nie umierać! Przyznajmy, że to zupełnie elementarny program wraz ze wszystkimi dodatkowymi punktami, jak np.: nie być posągiem; nie być płaczką; nie być grabarzem; nie recytować; nie powtarzać się; nie wyolbrzymiać; nie rozdrabniać; nie grzmieć i huczeć; nie dowcipkować. A nade wszystko – rewizja! Rewizja naszego stanu posiadania i, na dodatek, rewizja nas samych”¹⁴⁷.

Polska. „Powstań, przedstawia swoją pedagogię Gombrowicz. Pomyśl, że nie tylko ty masz Jej służyć – że ona także ma służyć tobie, twemu rozwojowi. Wyzbądź się zatem nadmiernej miłości i czci, które cię pętają, spróbuj wyzwolić się z narodu. Na co ten Polak odpowiedziałby mi z wściekłością: – Oszalałeś! Cóż byłbym wart, gdybym to zrobił? Na co ja: – Musisz (bo to już dzisiaj nieuniknione) ustalić, co jest dla ciebie najwyższą wartością: Polska czy ty sam? Musimy w końcu wiedzieć, co jest twoją ostateczną racją. Wybierz co dla ciebie bardziej zasadnicze: czy to, że jesteś człowiekiem w świecie czy Polakiem? Jeśli przyznasz prym swemu człowieczeństwu, musisz uznać, że Ona o tyle może ci być przydatna, o ile mu sprzyja – ale, jeśli hamuje cię lub paczy, musi być przezwyciężona. Decyduj się zatem! Ale on odparłby namiętnie: – Nieprawda i nie złudzisz mnie tą sofistyką, gdyż ja, będąc Polakiem, tylko w narodzie moim mogę uzyskać człowieczeństwo. Czy pies może być zwierzęciem tylko? Nie, pies jest zwierzęciem, ale jako pies, konkretny pies, buldog lub wyżeł. A gęś? A koń? Nie odbieraj mi mojej konkretności, bo ona właśnie jest moim życiem! Wtedy ja (ujmując go pod ramię): – Czy łudzisz się, że możesz osiągnąć konkret, czyli rzeczywistość, nie dopowiadając własnych uczuć? Wyznaj, że Ona cię ogranicza, krępuje... On: – Milcz! Tego nie mogę słuchać! Ja zaś: – Chcesz istnieć naprawdę, a boisz się własnych myśli?... Odwieczny dialog, klasyczna namowa do buntu... – komentuje ten stan rzeczy Gombrowicz. Ja może i niechętnie zabierałbym się do tego wynaradawiania... [...] Nie jestem wielbicielem kosmopolityzmu – ani tego naukowego, suchego, teore-

¹⁴⁶ W. Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, s. 49–50.

¹⁴⁷ W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1969*, s. 565.

tycznego i abstrakcyjnego, z jego mózgowym schematem idealnie uniwersalnych ustrojów – ani też tego, który rodzi się z sentymentalnej anarchii i jest ckliwym marzeniem mętnych głów o pełnej „wolności”. Nic ufałem jednemu i drugiemu. Przeciwnie, moje ujęcie człowieka, jako istoty stwarzającej się w związku z innymi, konkretnymi, ludźmi, pchało mnie w stronę wszelkiego, ściślej zadzierzgniętego, obcowania. Ale rzecz w tym, że [...] wcale nie czułem, abym godził w polskość, przeciwnie, miałem wrażenie, że ją pobudzam, ożywiam. Jak to było możliwe? Przecież chciałem wyzwalać ich z tej ich polskości? Zapewne... ale to wezwanie miało zaiste jakąś dziwną właściwość, dzięki której Polak stawał się tym bardziej Polakiem, im mniej był Polsce oddany. Sofistyka? Spróbujmy to jaśniej określić. Polak z natury swojej jest Polakiem. Wobec czego, im bardziej Polak będzie sobą, tym bardziej będzie Polakiem. Jeśli Polska nie pozwala mu na swobodne myślenie i czucie, to znaczy, że Polska nie pozwala mu być w pełni sobą, czyli w pełni Polakiem... [...] Proste prawo. Siła zbiorowa rodzi się w ten sposób, że każdy zdobywa się na pewne ustępstwo z siebie... tak stwarza się potęgą wojska, państwa lub kościoła. Potęga narodu. Ale to odbywa się kosztem jednostki. A jeśli naród jest tak geograficznie i historycznie umieszczony, że nie może dojść do potęgi? Cóż wtedy? – zadaje pytanie Gombrowicz. I odpowiada: Ta polskość spontaniczna i naturalna, zawarta w każdym z nas, doznaje wielkiego uszczerbku. [...] Więc co? Spalamy się, ale z tego spalania tylko dym”¹⁴⁸. Gombrowicz podejmuje wysiłek syntezy Polski i jednostki. „Moje pragnienie „przewyciężenia Polski” było jednoznaczne z chęcią wzmocnienia naszej indywidualnej polskości – oświadczam. Chciałem po prostu, aby Polak przestał być wytworem wyłącznie życia zbiorowego – i „dla” życia zbiorowego. Chciałem go uzupełnić. Zalegalizować jego drugi biegun – biegun życia indywidualnego – i rozpiąć go między tymi dwoma biegunami. Chciałem go mieć między Polską a jego własnym istnieniem – [...] świadomego swojej wewnętrznej sprzeczności i umiejącego wyzyskać ją dla rozwoju”¹⁴⁹.

Tu jednak w programie autora *Dziennika* pojawia się istotny problem. „Inna rzecz mnie niepokoiła, czytamy w analizowanym tu dziele. [...] Nienawidziłem narodu, bo nie mogłem go znieść; a znieść go nie mogłem wskutek tchórzostwa. Lecz w takim razie cóż były warte moje rady i pouczenia – gdy wynikały z zasadniczej mojej niemożności sprostania życiu? Ja, dekadent, jak mogłem wskazywać drogę zdrowym? Ale ten okropny problem [...] został już wielokrotnie przemyślany. Wszak wiadomo, że postęp, że rozwój, nie są dziełem ludzi przeciętnie zdrowych, tych zaledwie zdających sobie sprawę... lecz właśnie wypracowywany bywa przez istoty kalekie, wygnane z zacnej „normalności”. Chory lepiej uchwyci treść najgłębszą zdrowia – dlatego że go nie posiada, że do niego tęskni. Ten komu brak wewnętrznej równowagi może przez to samo stać się znawcą od spraw zrównoważenia, a rada człowieka upośledzonego może przydać się tęgiemu życiu. Ci zaś, co wskutek osobistych skażeń nie mogą połączyć się ze stadem błakają się na peryferiach, widzą wyraźniej drogę stada i lepiej znają las otaczający. Sądziłem więc i sądzę do dzisiaj, że zawstydzająca geneza mojej idei nie

¹⁴⁸ Ibidem, s. 354-355.

¹⁴⁹ Ibidem, s. 355-356.

powinna zaszkodzić – myśl poczęta w piekielku mej niedostateczności, łagodzonej dzieciństwem, mogła stać się obiektywnie ważna. I zdrowa. Pod warunkiem, że przed nikim (poczynając od siebie samego) nie będę ukrywał z czego i jak się poczęła. [...] Nóżki na stół i karty także”¹⁵⁰. „Następstwa takiej zmiany naszego stosunku do Polski byłyby bogate i ważne – dopowiada Gombrowicz. [...] Na przykład – rewizja historii polskiej. [...] Pozwólcie mi marzyć. Byłoby to olbrzymie osiągnięcie ducha – to byłoby jak gdybyśmy wydobyli się z nurtu rzeki i poczuli grunt pod stopami. [...] Oznaczałoby to ni mniej, ni więcej, że życie swoje chcemy zacząć od początku i przestajemy być tylko konsekwencją przeszłości”¹⁵¹. I oto konkluzja: „Nie traćcie drogiego czasu na pościg za Europą, oświadcza Gombrowicz, kierując to w stronę polskiej sztuki – nigdy jej nie dogonicie. Nie próbujcie stać się polskimi Matisse’ami – z braków waszych nie urodzi się Braque. Uderzcie raczej w sztukę europejską, bądźcie tymi, którzy demaskują: zamiast podciągać się do cudzej dojrzałości, spróbujcie raczej ujawnić niedojrzałość Europy”¹⁵². „Moi przygodni towarzysze, wspomina Gombrowicz Argentynę, z którymi przyjaźń powierzchowna i nieobowiązująca przychodziła mi w sposób zdumiewająco naturalny (tę naturalność odkryłem w sobie, ja sztuczny, jak skarb najcenniejszy, łaskę, wypoczynek, wyzwolenie), pomagali mi, jak mogli. Kiedyś spacerując z jednym z nich po ulicy [...] i gapiąc się na wystawy, powiedziałem, że jeść mi się chce [...] – Nic, powiedział, nie przejmuj się, mam trupa, starczy dla dwóch. Wsiadliśmy do tramwaju i pojechaliśmy na przedmieście, do jakiegoś domku w dzielnicy robotniczej, gdzie rzeczywiście nieboszczyk, nie wiem już jakiej nacji, leżał w trumnie, obłożony kwiatami, a rodzina, krewni i znajomi żegnali go w żałobnym milczeniu. Pomodliwszy się przeszliśmy do sąsiedniego pokoju, gdzie był poczęstunek dla żałobników, bufet, kanapki, wino, jedliśmy i opowiadał, że nieraz wyszukuje sobie trupów w tym *barrio*, że najlepiej dowiedzieć się od kościelnego. To młode, nieskończenie eleganckie, jedzenie trupa urosło mi do jakiegoś bardzo głębokiego symbolu owych czasów... to zajadanie trupa z młodym, świetnym, apetytem... do którego ja przecież, w moim wieku, już nie miałem prawa... I cała to moje „naturalność”, to była w końcu tylko sztuczność i gra... ale gra najdonioślejsza, najwspanialsza, jaką mogłem wieść ze sobą samym. Dzięki temu paradoksalnemu rozmiłowaniu w upadku przetrwałem wojnę i nędzę zwycięsko. I dziś nie doświadczam wyrzutów sumienia, iż wówczas klęska, nieszczęście moje, czy bliskich, czy połowy świata, stało mi się pomostem do czegoś w rodzaju gorzkiej, przeklętej, rozkoszy, nie, ja jakoś miałem do tego prawo... Ale burżuazyjna ostrożność mnie nie opuszczała i nigdy nie dałem się wciągnąć w przedsięwzięcia bardziej ryzykowne”¹⁵³. I wspomnienie z przybycia do Europy. „Ja, anonimowy Gombrowicz argentyński, wcieliłem się bez trudu w Gombrowicza-pisarza, który tu po cichu dojrzewał już od dość dawna i czekał na mnie. Ale okno otwierałem w moim hotelowym pokoiku, niedaleko Opery... bo brakowało mi powie-

¹⁵⁰ Ibidem, s. 358.

¹⁵¹ Ibidem, s. 358-359.

¹⁵² Ibidem, s. 44-45.

¹⁵³ W. Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, s. 82-83.

trza, coraz gorzej było z oddychaniem. Nie wiedziałem dotąd dokładnie, dlaczego rozstanie z Argentyną było takie rozdzierające. Teraz zaczynałem rozumieć. Europa, dla mnie, to była śmierć. Ten powrót mi mówił: już się stałeś. Jesteś skończony”¹⁵⁴.

„Sprawy polskie”, jak informował Gombrowicz, stanowią 10% *Dziennika*. Ten zaś, jak wiemy, pisany był na dziesięć procent. Jak jednak z powyższych tekstów wynika, te 10% z dziesięciu procent, będąc *clou* całego przesłania autora *Ferdydurke*, odnosi się do kwestii uniwersalnych; i fundamentalnych. Można powiedzieć, trzymając się tego statystycznego ujęcia, iż jest to... sto procent.

„Sto lat temu litewski poeta wykuł kształt polskiego ducha, dziś ja, jak Mojżesz, wyprowadzam Polaków z niewoli tego kształtu, Polaka z niego samego wyprowadzam...”¹⁵⁵, oświadcza Gombrowicz. „Mój stosunek do Polski wynika z mego stosunku do formy – pragnę uchylić się Polsce, jak uchylam się formie – pragnę wzbić się ponad Polskę, jak ponad styl – i tu i tam, to samo zadanie”¹⁵⁶. Polska, jej historia, kultura... „Śmietnik. W tym sęk, że ja wywodzę się z waszego śmietnika. We mnie odzywa się to, co wy w ciągu wieków wyrzucaliście jako odpadki. Jeśli moja forma jest parodią formy, to mój duch jest parodią ducha, a moja osoba parodią osoby. Czy nie jest tak, że formy nie można osłabić, przeciwstawiając jej inną formę, a tylko – rozluźnieniem samego stosunku do formy? Nie, to nie przypadek, że w chwili, kiedy na gwałt potrzeba bohatera, rodzi się ni stąd, ni zowąd błazen... świadomy i wskutek tego poważny. Za długo byliście zbyt dosłowni – zbyt naiwni – w waszej rozgrywce z losem. Zapomnieliście, że człowiek nie tylko jest sobą, ale i udaje siebie. Wyrzuciliście na śmietnik to wszystko, co w was było teatrem i aktorstwem, i usiłowaliście o tym zapomnieć – dziś przez okno widzicie, że na śmietniku wyrosło drzewo, będące parodią drzewa”¹⁵⁷. „Urodziłem się, aby zdemaskować waszą grę, ogłasza Gombrowicz. Książki moje nie mają wam powiedzieć: bądź, kim jesteś, ale – udajesz, że jesteś, kim jesteś. Chciałbym, aby stało się w was płodne to właśnie, co uważaliście za całkowicie jałowe i nawet zawstydzające. Jeśli tak nienawidzicie aktorstwa, to dlatego, że ono w was tkwi, ale dla mnie aktorstwo staje się kluczem do życia i rzeczywistości. Jeżeli brzydzicie się niedojrzałością, to ponieważ macie ją w sobie – ale we mnie niedojrzałość polska wyznacza cały mój stosunek do kultury. Moimi ustami odzywa się młodość wasza, wasze pragnienie zabawy, wasza uchylająca się giętkość i nieokreślenie – tego właśnie nienawidzicie, to z siebie wypieracie – we mnie wyzwała się Polak ukryty, wasze *alter ego*, odwrotna strona waszego medalu, część księżyca waszego, dotąd niewidzialna. Ach, chciałbym, abyście stali się aktorami świadomymi gry!”¹⁵⁸ Tak to „pewien Polak, właśnie dlatego, iż już zanadto, zbyt usilnie, był Polakiem i tylko Polakiem, zapragnął kategorycznie wyzwolić się z Polaka – i że właśnie wśród nas, wskutek tak silnego zapamiętania się w narodzie, musiało powstać uczucie wręcz

¹⁵⁴ Ibidem, s. 138.

¹⁵⁵ W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1969*, s. 59.

¹⁵⁶ Ibidem.

¹⁵⁷ Ibidem, s. 60.

¹⁵⁸ Ibidem, s. 60-61.

przeciwne, idea całkowicie spreczna”¹⁵⁹. „Moja prawda i moja siła – oświadcza Gombrowicz – polegają na nieustannym psuciu sobie gry. Ja ją psuję sobie i innym”¹⁶⁰. Jeżeli w ogóle toczy się tu jakakolwiek „gra”... „Myślę – zwierza się z melancholią [...], o masie narodu, o tysiącach i tysiącach prostych ludzi. Na co im to?”¹⁶¹

W *Dzienniku* Gombrowicz „komentuje siebie”. A to oznacza, iż „komentuje” Polaka. „Każde słowo tego dziennika pisane jest pod włos”¹⁶², oświadcza. Jednakże podkreśla: „Nie jestem ordynus. Nie szukam bójkii ulicznej. Ani w demagogicznym rozpędzie wrzeszczę, straszę, przesadzam – nie, ja nie przesadzam – ja zawsze szukałem siły w umiarkowaniu”¹⁶³. „Nie chcę być falą, która uderza o skałę, chcę być [...] wodą, która sączy się, przenika, przecieka...”¹⁶⁴. I zaskakujące wyznanie. „Jestem naturą raczej szlachetną, choć niewypowiedzianie słabą ([...] w tym mistrzem moim jest chyba Szopen)”¹⁶⁵. W muzyce Szopena bowiem, jak pisze, „afirmacja słabości, delikatności, przeprowadzona z niesłyszana stanowczością i uporem, daje w rezultacie siłę i możliwość spojrzenia w oczy życiu. On tak bardzo „upiera się przy swoim”, tak kategorycznie chce być kim jest, że to czyni go naprawdę istniejącym – a więc nieustępliwym, jako zjawisko, niezmożonym. W ten sposób, na drodze autopotwierdzenia, romantyzm szopenowski, zrozpaczony, zatracony, cierpieliwy, poddany mocom świata jak słomka na wietrze, przeobraża się w surowy klasycyzm, w dyscyplinę, w opanowanie materii, w wolę panowania. Jakże wzruszający i podniosły jest jego heroizm, widziany od tej strony, a jak deklamacyjny, retoryczny i kiepski, gdy się go ogląda od strony „patriotycznej”. „Uchwyć się najsilniej tego we mnie, co najsłabsze” – zdaje się krzyczyć jego dzieło”¹⁶⁶. „Cóż wy wiecie o triumfie, który pozwala rozkoszować się własną niedojrzałością i jest jednocześnie jej wyswobodzeniem i przewyciężeniem?, pisze Gombrowicz, kierując te słowa do emigracji polskiej w Argentynie. A także – czy znana jest wam boskość przeciwstawiania istotnym i brutalnym wartościom życia (jak zdrowie, rozum, charakter) tych wartości fikcyjnych, hrabiowskich, wyssanych z niedojrzałego palca [...] takiej jaka ona jest, wbrew wszystkim protestom rozumu? Czy znacie szal rozkoszowania się absurdem?”¹⁶⁷ Kongres pisarzy w Buenos Aires. „Pen-Club argentyński nie zaprosił mnie, wspomina Gombrowicz. [...] Dlaczego? Bo zamiast „kocham, lubi, szanuje” – „nie chce, nie dba, żartuje!” A dlaczego? Ba, ba! Osoby biorące udział w głosowaniach na członków Akademii „Wiadomości” łatwo zgodną: dałem się we znaki. [...] Co prawda, gdyby mnie zaproszono, też by mnie nie było. Nie jestem na tyle głupi, żeby na takie sesje dojeżdżać taksówką, lub tramwajem

¹⁵⁹ Ibidem, s. 59.

¹⁶⁰ Ibidem, s. 726.

¹⁶¹ Ibidem, s. 61.

¹⁶² Ibidem, s. 195.

¹⁶³ Ibidem, s. 632.

¹⁶⁴ W. Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, s. 116.

¹⁶⁵ W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1969*, s. 300.

¹⁶⁶ Ibidem, s. 640.

¹⁶⁷ Ibidem, s. 83.

– gdyby mi zafundowano, jak tamtym panom, bilet na transatlantyk tam i z powrotem, oraz pobyt w pierwszorzędnym hotelu, co innego. Ale, mieszkając w Buenos Aires o sześć kwadr od sali posiedzeń, nie mogę domagać się żeby mnie dowożono transatlantykiem i, pomijając wszystko inne, byłoby zbyt dziwne gdybym z transatlantyku wchodził na salę wprost przez okno pierwszego piętra¹⁶⁸. „Zwęzić się! Ograniczyć! Żyć tym tylko co moje! Chcę być konkretny i prywatny! Potąd mam idei, które każą mi troszczyć się o Chiny – Chin nie widziałem, nie znam, nie byłem tam! Dość nakażów, abym widział brata w człowieku, który nie jest moim bratem! Chcę zamknąć się w moim kręgu i nie sięgać dalej niż mi na to pozwala mój wzrok. Rozwalić tę „powszechność” przekłętą, która mnie pęta gorzej od najciaśniejszego więzienia i wydobyć się na swobodę Ograniczonego”¹⁶⁹. „Polsko, ojczyzno!”¹⁷⁰. „Wielu moich rodaków uważa mnie za pisarza bardzo, wyjątkowo, polskiego – więc ja jestem jednocześnie, jak się okazuje, bardzo antypolski i bardzo polski – i może dlatego tak polski, że tak antypolski, gdyż polskość urzeczywistnia się we mnie bez premedytacji, swobodnie, o tyle, o ile jest moją koniecznością”¹⁷¹, oświadcza Gombrowicz. A jednak, jak coś jest „słabe”, to jest „słabe”. „Byłem osłabiony w ciągu całej tej mojej podróży do Europy – podsumowuje swój pobyt na Starym Kontynencie Gombrowicz. Więc i ten dziennik to tylko zetknięcie się mojego istnienia – nadwątlonego, słabowitego – z istnieniem Europy [...] Oh! nadaremnie wzywałem młodości, aby wydobyć się z mego istnienia. [...] Zabrakło siły, żeby przemóc kamienną obcość Europy. Przez lata mego argentyńskiego wygnania wysilałem się, jak mogłem, by zachować wierność Europie, ukrytą dumą mojego pisania było to właśnie: wierność Europie. Sprawiedliwe więc, że w Paryżu, w Berlinie, poczuł się, jak u siebie w domu, ja, Europejczyk. Tylu przyjaciół. Czytelnicy. Takie karesy. Czułość. A jednak byłem za słaby fizycznie [...]. I zanadto tkwiłem jednak w Argentynie. Więc gdy Argentyna za mną cofa się, rozplywa, wyrastająca przede mną Europa jest jak piramida, jak Sfinks i obca planeta, jak fatamorgana, już nie moja, ja jej nie poznaję, nie odnajduję w czasie i przestrzeni... I nie daję się osiąść mnie, osłabionemu”¹⁷². Autorzy emigracyjni twierdzą, jak pisze, „że Polacy na wygnaniu żyją połowicznym, nieprawdziwym życiem i że, aby ciż Polacy zaczęli żyć naprawdę, muszą odzyskać Polskę”¹⁷³. Polska to grunt. I Gombrowicz: „Przed wszystkim zapytam: czy tak pewne jest i oczywiste, że życie Polaka w Polsce było mniej połowiczne i mniej nieprawdziwe? Czy tamto życie nie było także nędzne, ubogie i ciasne – czy nie było wiecznym oczekiwaniem na życie, które „zaczyna się jutro”? Przypomnijcie sobie twarze w warszawskim, przedwojennym, tram-

¹⁶⁸ Ibidem, s. 714.

¹⁶⁹ Ibidem, s. 417.

¹⁷⁰ Ibidem, s. 673.

¹⁷¹ W. Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, s. 102.

¹⁷² W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1969*, s. 830.

¹⁷³ Ibidem, s. 105.

waju. Jakże zmęczone! Jak udręczone! Na tych twarzach czytaliście złowrogi sens życia – sens uniwersalny¹⁷⁴.

Zapis z 1960 roku. Restauracja Sorrento. „Kelner podchodzi, wybieram ślimaki *à la marinera* i karafkę białego wina. [...] Na prawo i na lewo burżuazja. Kobiety wsadzają sobie w otwory gębowe mięso trupie i poruszają jadaczką – to idzie im do przelyku i przewodu pokarmowego – mina, jak gdyby się poświęcały – i znów otwiera otwór, aby wsadzić... Mężczyźni operują nożem i widelcem – łydki m.in. odżywiają się im w nogawkach, wykorzystując działanie pokarmowych narządów... i dziwne doprawdy byłoby ująć pracę tutaj zgromadzonych osób jako odżywianie łydek!?!... Ale aparat ich ruchów jest w najdrobniejszym szczególe ustalony, te zabiegi od wieków ukształtowane – sięganie po cytrynę, smarowanie kawałeczków chleba, rozmawianie pośród przelykania, nalewanie lub podawanie z rozmową w bok, z uśmiechem skośnym – jednolitość ruchu prawie jak z brandenburskich koncertów – i tu się widzi ludzkość powtarzającą siebie bez wytchnienia. Sala wypełniona żarciem, objawiającym się w nieskończonych wariantach, jak figura walca podejmowana przez tancerzy – i twarz tej sali, skupiona na swojej odwiecznej funkcji, była twarzą myśliciela¹⁷⁵. Zapis z 1954 roku; „Tragedia. Chodziłem po deszczu w kapeluszu nasuniętym na czoło, z kołnierzem palta podniesionym, z rękami w kieszeniach. Po czym wróciłem do domu. Wyszedłem jeszcze raz, żeby kupić coś do zjedzenia. I zjadłem¹⁷⁶. Inny zapis: „*Poniedziałek*. Zjadłem smaczną rybę¹⁷⁷. Domniemywać można, iż Gombrowicz mógł ją jeść nożem. Jest bowiem tak, jak pisze, że „ten, komu wiadomo, iż nie należy jeść ryby nożem, może jeść rybę nożem¹⁷⁸. Życ... i żyć... Jeść... i jeść... Normalność... i normalność... „Słońce łapką swoją przymruża mi oczy... [...]. Pocę się i jestem trochę nerwowo! Kapryśny! [...] Muchy brzęczą. [...] Rozpływam się... Myślę o swojej pracy, o moim miejscu w literaturze, o mojej odpowiedzialności, moim przeznaczeniu i moim powołaniu. Ale komar brzęczy z lewa, nie, z prawa, [...] rozpływam się... [...] Roztapiam się i rozpływam, ale wszystko też się rozpływa...¹⁷⁹. „Jestem Duchem, oświadcza Gombrowicz. Duchem, naturalnie, o ile się da, dobrze wychowanym [...], ale jednak duchem¹⁸⁰. „Złudzenia! Miraże! Falszywe związki! Żaden ład, żadna architektura, éma w moim życiu, z której nie wyłania się ani jeden prawdziwy element kształtu¹⁸¹. „Wszystko co sensne zachwyca mnie i podnieca.¹⁸² „*Poniedziałek*. Zaszedłem do Club Social i piłem kawę. Rozmawiałem z Genaro. Z molo jeździłem jeepem na lotnisko. Pisałem powieść. Poszedłem na placyk, nad rzeką. Dziewczynka, jadąca na rowerze, zgubiła paczkę, którą podniosłem. Motyl. Cztery pomarań-

¹⁷⁴ Ibidem.

¹⁷⁵ Ibidem, s. 556-557.

¹⁷⁶ Ibidem, s. 111.

¹⁷⁷ Ibidem, s. 639.

¹⁷⁸ Ibidem, s. 809.

¹⁷⁹ Ibidem, s. 166-167.

¹⁸⁰ Ibidem, s. 867.

¹⁸¹ Ibidem, s. 753.

¹⁸² Ibidem, s. 373.

cze, zjedzone na ławce. Sergio poszedł do kina. Małpa na murze i papuga. [...] Domy. Uliczka, poszatkowana ostrym cieniem. Pies leży. Rower oparty o ścianę”¹⁸³.

Czym zatem okazuje się *Dziennik*? Gombrowicz oświadcza: „Daleki jestem od zadowolenia. Szczerze powiem: jedno z najważniejszych zadań, jakie ciągle się we mnie kołatało, gdym podejmował [...] pracę nad dziennikiem, nie zostało osiągnięte. [...] Jasno to widzę... to mnie przygnębia... Nie potrafiłem wyrazić należycie mego przejścia z niższości w wyższość, tego przewekslowania z Gombrowicza nieznacznego na Gombrowicza znacznego. Ani sens duchowy tej sprawy, ani sens wstydliwie osobisty, ani sens społeczny [...] nie zostały odpowiednio potraktowane. Konwenans okazał się silniejszy. Ilekroć dotykałem tego tematu, zawsze mi się rozdrabniał, ulatniał, staczał w żarcik, w polemikę, w pozorne samochwalstwo, w przekorę... w felieton... Utarte środki wysłowienia zagórowały. Brak energii, śmiałości, powagi i pomysłowości miejscom mego dziennika, które o tę stronę potracają. To spora porażka...”¹⁸⁴. „Dusza formuje mi się nieraz mętnie, tępo... z byle jakich incydentów.”¹⁸⁵ „Moje życie szare... Gdyby mój dziennik nie zrobił się sam, niepostrzeżenie, z miesiąca na miesiąc, nigdy bym się nań nie zdobył... *Dziennik*? Ja? Z moim życiem? Cóż za pomysł!”¹⁸⁶ „Wiem, uzupełnia, nic niebezpieczniejszego niż [...] oprowadzanie po własnych utworach. Sztuka jest zawsze *czymś więcej*. [...] Przyznam się nawet: podczas tego dialogu [Rozmowy z Dominikiem de Roux] towarzyszyło mi ciągle wrażenie, że moje utwory dzieją się gdzie indziej. [...] Moje pisanie jest grą, jest pozbawione intencji, planu, zamierzenia. Dlatego nie tak łatwo wyłuskać z nich schemat ideowy. To schemat, [...] *ex post*”¹⁸⁷. Dziesięć procent...

„Moje – pisze Gombrowicz – rozegotygowane i solipsyzujące „ja”¹⁸⁸ – z „ducha” nowożytności poczęte. „Ukazać ludzkość w przejściu od Kościoła Boskiego do Kościoła Ludzkiego – oto, jak się zwierza, cel *Ślubu*. [...] To kulawe, jakby pijane, czy senne, czy szalone, tworzenie się mojej *Missa sollemnis* z napięć formy, z jej związków, kombinacji, rymów, rytmów wewnętrznych, wydawało mi się odpowiednikiem stwarzania się Historii, która też posuwa się naprzód, jak pijana i senna. Zdarzyło mi się wtedy, gdym pisał: *WŁADZIO Nic. HENRYK Nic. OJCIEC Przeinaczone. MATKA Wykręcone. WŁADZIO Zrujnowane. HENRYK Wypaczone*. ... że rozplakałem się nagle, jak dziecko – jedyny to raz zdarzyło mi się coś podobnego – nerwy, oczywiście. Gorzko łąkałem i łyzy kapąły na papier”¹⁸⁹. Europa, Polska, Polacy, nowożytność... „Sen”, „sen”, „sen”...

¹⁸³ Ibidem, s. 320.

¹⁸⁴ Ibidem, s. 874

¹⁸⁵ Ibidem, s. 411.

¹⁸⁶ W. Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, s. 106.

¹⁸⁷ Ibidem, s. 149.

¹⁸⁸ W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1969*, s. 545.

¹⁸⁹ W. Gombrowicz, *Dziennik 1967–1969*, s. 95.

Summary

POLAND AND THE POLES AND THE “SPIRIT” OF MODERNITY IN WITOLD GOMBROWICZ’S *DIARY*

The Diary by Witold Gombrowicz apart from his known dramas belongs to the greatest literary achievements of this author. In this extensive work, as he writes, he “comments on” his literary output and at the same time “comments on” himself. This literary output as well as *The Diary* is ultimately the sphere, as he defines it, of “dream”. Here the special position belongs to Poland. In Gombrowicz’s thought the central category is the category of “form”. It is the world which is formed by the relationships between individuals. The life of each individual is the life “for”; the life in the other individual’s “eyes”. Modern Europe is the “world” in which, as Gombrowicz says, “moron” imposes “form” on another “moron”. According to him the idea of the “spirit” of the West comes down to the following rule: “the wiser the foolisher”. In Gombrowicz’s opinion, what is the most precious in relationships between individuals is, as he claims, “immaturity”, “youth”, “inferiority”. Modern Europe is devoid of this. Here one can come across only: production, technology, science. Poland as compared to the West is the world of “backwater”; of “dullards”. It is the worship of A. Mickiewicz and H. Sienkiewicz. It is “childish”, “motionless”, provincial, “rustic” world. According to Gombrowicz such an image of Poland is just “one side of the coin”. On the other side the “immaturity” of Poland poses a chance. It is a chance both for Poland and for Europe. As a matter of fact “life laughs at the mind”. The West is the world of “rubbish”, “artificial” world of “form”. Poland is not obliged to catch up with the West. The only thing to do is to change provincial “childhood” into “adult’s childhood”.

Keywords: “dream”, Poland, “form”, modern Europe, “moron”, “stupidity”/“foolishness”, “immaturity”, “youth”, “inferiority”, “backwater”, “childhood”, Adam Mickiewicz, Henryk Sienkiewicz

Słowa kluczowe: „sen”, Polska, „forma”, Europa nowożytna, „kretyn”, „głupota”, „nie-dojrzałość”, „młodość”, „niższość”, „zaścianek”, „dzieciństwo”, Adam Mickiewicz, Henryk Sienkiewicz

Bibliografia

- Gombrowicz Witold, *Dziennik 1953–1969*, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 2013.
Gombrowicz Witold, *Dziennik 1967–1969*, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1992.

Data przesłania artykułu do Redakcji: 2016.01.24.

Data wstępnej akceptacji artykułu przez Redakcję: 2016.02.06.